

POWIEŚCI KRÓLOWEJ ROMANSU

Barbara  
Cartland



Dynastia  
miłości

•Książnica•

# *Cartland Barbara*

## *Dynastia miłości*

*Zobaczywszy Clinta Wickhama, znieruchomiała. On też był zaskoczony. Stojąca przed nim młoda kobieta w ogóle nie pasowała do wyobrażenia o angielskiej guwernantce, jakiego ukształtował sobie na podstawie zasłyszanych opowieści. Oczekiwał osoby w średnim wieku, bezbarwnej niepozornej starej panny, tymczasem miał przed sobą młodą dziewczynę, bardzo ładną, a nawet piękną. Patrzyła na niego z wyrazem zaskoczenia w oczach, które dodawało jej uroku. Amerykanin nie mógł się oprzeć wrażeniu, że młodziutką nauczycielką jest nie tylko zaskoczona — ona odczuwała lęk.*

## **OD AUTORKI**

W 1874 roku arystokraci z Anglii i innych krajów europejskich masowo wyjeżdżali do Ameryki w poszukiwaniu bogatych żon. W taki to sposób wiele amerykańskich dziedziczek wielkich fortun poślubiło utytułowanych Europejczyków.

W XIX wieku Elizabeth Astor, córka Johna Jacobsa, wyszła za mąż za hrabiego Vincenta Rumpffa. Potem nastąpiła cała seria ślubnych kontraktów. Między innymi związek małżeński zawarli wtedy Jenny Jerome i Randolph Churchill.

W następnych latach bogate panny z całej Ameryki przybywały do Anglii. Większość z nich pochodziła z nowojorskiej Piątej Alei. W 1904 roku panna Goelet poślubiła księcia Roxburgh. Hrabia Yarmouth został markizem Hertford dzięki temu, że wraz z ręką bogatej

panny dostał okrągły milion dolarów, który dopomógł mu w zdobyciu tytułu.  
Najsłynniejszym jednakże mariażem był związek księcia Marlborough z Consuelą  
Vanderbildt, która poszła do ołtarza niechętnie, zmuszona do tego przez ambitną matkę.

1

1882

Tilia ze smutkiem rozejrzała się po salonie. W rogu pod sufitem dostrzegła oddartą tapetę, a na suficie wykwitłą kolejną plamę wilgoci. Jeszcze wczoraj jej tam nie było. Tilia westchnęła. W obecnej sytuacji nie miała szans na dokonanie choćby najpotrzebniejszych napraw.

Obawiała się, że — podobnie jak to się stało z innymi wnętrzami — sufit salonu z dnia na dzień będzie w coraz gorszym stanie, że się w końcu zawali. Myśl ta przygnębiła ją jeszcze bardziej.

Podeszła do okna i wyjrzała na zaniedbany ogród. Jedynie stare dęby w parku były piękne jak zawsze. Pod nimi rozpościerał się przepyszny dywan ze złotych żonkili. Wiosna budziła nadzieję, to prawda, ale niestety, z każdym rokiem sprawy przedstawiały się coraz gorzej.

Kładąc się spać poprzedniej nocy, Tilia zastanawiała się z rozpaczą, jak uda im się prze-

trwać. Nie chodziło tylko o nią. Był jeszcze Roby oraz dwoje służących, ludzi w podeszłym wieku. Ostatni, jacy pozostali w pałacu.

Coblinowie mieszkali w Staverly Park od ponad czterdziestu lat. On zaczynał jako czyści-but, ona była wtedy pomocą kuchenną. Stopniowo pieli się coraz wyżej w hierarchii stanowisk służby, aż w końcu ona została kucharką, a on kamerdynerem. Było to za życia rodziców Tili. Coblinowi podlegali wówczas trzech lokaje, a pani Coblin miała do pomocy trzy dziewczyny kuchenne i dwie'pomywaczki.

Dawne dobre czasy! Jakże często Tilia słyszała te słowa! Teraz sama miała ochotę je wypowiedzieć. Jak cudownie wyglądał dom w czasach jej dzieciństwa! Matka urządziła tu przyjęcia i bale. Powozy zaprzężone w piękne konie zajeżdżały sznurem przed drzwi frontowe, zwożąc tłumy gości. Damy miały na sobie lśniące klejnoty i najmodniejsze suknie.

Wyglądającej ukradkiem zza poręczy schodów Tili panowie i panie w balowych strojach zdawali się istotami z bajki, a matka w słynnym rodowym diademie na głowie bez wątpienia była królową Elfów.

Z bólem myślała nieraz, że to wszystko minęło bezpowrotnie niczym cudowny sen. Diadem pozostał wprawdzie wśród rodzinnych skar-

bów, ale tak wiele innych rzeczy trzeba było sprzedać.

Losu tego uniknęły portrety rodzinne oraz większa część sprzętów z wyposażenia pałacu dzięki zastrzeżeniu w testamencie, uczynionemu w najlepszej wierze przez jednego z antenatów Tili, który pragnął uchronić majątek przed podziałem. Nie naruszone pozostały rodowe srebra, piękne intarsjowane meble, słynna kolekcja zbroi rycerskich oraz niezwykle cenne białe kruki w bibliotece.

— I czy można mówić o pożytku, jaki z tego wszystkiego ma mieć mój syn, skoro nie mogę sobie pozwolić na syna! — wykrzykiwał gniewnie Roby podczas kolejnych wizyt w domu.

Mieszkał na stałe w Londynie, gdzie prowadził dość wesołe życie, choć zupełnie nie stać go było na to. Od dawna żył na koszt przyjaciół. Londyńskie damy były zachwycone, mogąc zapraszać na przyjęcia przystojnego nieżonatego baroneta. Natomiast Tilia, panna z dobrej rodziny, lecz bez posagu, nie była atrakcyjną partią, więc nie liczyła się pod względem towarzyskim. Nie miała zresztą nawet odpowiedniej sukni, by móc być przedstawioną w pałacu Buckingham. Dlatego też podczas gdy Roby wesoło spędzał czas w Londynie, jego siostra samotnie mieszkała na wsi.

Dotąd nie uskarżała się na swój los. Miała konia, na którym odbywała długie przejażdżki, i czuła się całkiem szczęśliwa. Teraz jednak nadeszły takie dni, kiedy nie było za co kupić jedzenia. Wpadała w coraz większą rozpacz.

Doskonale wiedziała, że proszenie Roby'ego o pomoc mija się z celem. Podejrzewała, że brat ma długi — choć się do tego nie przyznawał

— nawet u krawca. Ani ona, ani Roby nie mogli zwrócić się ze swoimi kłopotami do nikogo z rodziny. Krewni albo wymarli, albo sami znajdowali się w trudnej sytuacji.

— Czy Staverly'owie rzeczywiście byli kiedyś bogaci? — spytała Roby'ego podczas jego ostatniej wizyty.

— Pierwszego baroneta stać było na wybudowanie tego domu — odparł brat. — Jego następcy powiększali rodzinną rezydencję, a nasz drogi dziadek, bodaj go dunder świsnął, wydał na nią fortunę!

— Czemu zbudował tak wielki dom, skoro nie miał pieniędzy, by go utrzymać?

— Pewnie wydawało mu się, że ma dużo

— odparł brat. — Papa, kiedy odziedziczył po nim majątek, też sądził, że jest zamożny.

W głosie Roby'ego zabrzmiała nuta pogardy. Zawsze tak było, kiedy mówił o ojcu. Tilia rozumiała jego gorycz.



Sir Osmund Staverly, piąty baronet, był uroczym mężczyzną o ujmującej powierzchowności. Uwielbiał wygodne życie i dobrze czuł się w swojej posiadłości, dopóki żyła żona. Po jej śmierci wrócił do obyczajów z lat młodości.

Tilia niewiele wiedziała o życiu ojca. Słyszała, że spotykał się z aktorkami, które z jakichś niejasnych dla niej przyczyn kosztowały go majątek. Sporo wydawał też na konie.

Niektóre przywożono do Staverly, ale większość z nich można było oglądać jedynie na wyścigach. Mówiono, że nigdy nie mógł powstrzymać się, żeby jakiegoś nieobstawić.

— Wydał wszystko — powiedział Roby — na zbyt wolne konie i za szybkie kobiety!

Nie do końca rozumiała, co miał na myśli. Wiedziała jedynie, że ojciec pozostawił ogromne długi, że zginął w pojedynku, który miał coś wspólnego z jedną z kobiet określonych przez Roby'ego jako „za szybkie”.

Królowa Wiktorja zabroniła pojedynków, ale po cichu wciąż się odbywały. Tili ły napływały do oczu, kiedy myślała, że jej czarujący, najmilszy ojciec wyruszył o świcie do Green Park po własną śmierć. Mężczyzna, który go zabił, aby uniknąć kary, wyjechał za granicę. Za trzy lata będzie mógł wrócić bezpiecznie. Natomiast sir Osmund nie wróci już nigdy.

Śmierć ojca była dla niej i dla Roby'ego, który właśnie kończył Oksford, ogromnym przeżyciem. Roby'emu nigdy nie przyszłoby do głowy, że w takich okolicznościach zostanie sir Robertem Staverly, szóstym baronetem.

— Baronet bez jednego pensa! — powtarzał w bezsilnej złości.

Wierzycciele ojca zgodzili się niechętnie na umorzenie części długu, ale mimo to, by ich zaspokoić, trzeba było spieniężyć wszystko, czego nie obejmowała specjalna klauzula.

Poszła na to część obrazów, na ścianach pozostały po nich smutne, puste miejsca. Tilia i Roby sprzedali także część ziemi, która — na szczęście lub na nieszczęście — jako dokupiona w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, nie wchodziła w skład zastrzeżonego majątku. W wyniku tej transakcji rodzeństwo utraciło trzy, przynoszące największe dochody, farmy oraz najżyźniejsze pola. Ocalały jedynie ukochane lasy Tili, których nie można było sprzedać. Pozostały pastwiska, ale zabrakło koni, które można by na nich wypasać.

Była jeszcze wioska, gdzie mieszkali dawni służący z pałacu. Odchodząc na emeryturę, za wierną służbę otrzymywali niewielkie domki; teraz znajdowały się one w równie opłakanym stanie jak Staverly — dachy przeciekały, w ok-

nach brakowało szyb, a furtki do małych ogródków wymagały naprawy.

— Wstydę się pokazywać w wiosce! — skarżyła się Tilia Roby'emu, który odwiedził ją przed sześcioma miesiącami.

— Jeżeli nie będę miał nowego stroju wieczorowego — odparł niewzruszony — nie będę mógł przyjmować zaproszeń na kolacje. A wtedy umrę z głodu!

— Cóż zatem robić? — pytała Tilia z rozpaczą.

— Bóg jeden wie — odparł. — Ja nie mam pojęcia.

Wyjechał do Londynu i zabrał z sobą dywan w nadziei, że sprzeda go za kilka funtów. Na szczęście dywan nie znajdował się na liście przedmiotów zastrzeżonych.

— Pewnie gdybym zabrał stąd diadem i chciał go sprzedać, ktoś by to odkrył natychmiast — medytował Roby. — A zastawiwszy go, dostałbym całkiem okrągłą sumkę!

Tilia wydała okrzyk przerażenia.

— Nie możesz tego zrobić! Ten okropny prawnik, który z jakichś niewiadomych powodów został wykonawcą testamentu, przyjeżdża tu co trzy miesiące i sprawdza, czy niczego nie brakuje!

Przestąpiła nerwowo z nogi na nogę.

— Wtyka nos wszędzie! Nienawidzę go! Kiedy przyjeżdża, wychodzę z domu na cały dzień.

— Robi to, co do niego należy — powiedział Roby. — Kiedy pomyślę, ile warte jest pierwsze wydanie Szekspira, mam ochotę zaryzykować awanturę!

— Wywołałbyś skandal — odparła Ti-lia. — Wiesz doskonale, że gdyby wiadomość o czymś takim przedostała się do gazet, te wszystkie wielkie damy, u których spędzasz tyle czasu, skreśliłyby cię z listy gości.

— Te wielkie damy, jak je nazywasz — odparł Roby — zapewniają mi obiady i kolacje. A ja już tak nisko upadłem, że nie stać mnie nawet na śniadanie!

Tilia pomyślała, że jej nie stać na żaden posiłek. Gdyby nie króliki, gołębie i kaczki, ona i Coblinowie chyba umarliby z głodu. Ojciec nauczył ją strzelać, kiedy była małą dziewczynką. Choć szczerze nienawidziła zabijania, musiała polować w lesie, by zdobyć pożywienie.

Mimo dokuczliwego reumatyzmu Coblin uprawiał ziemniaki i jakieś jarzyny. Rosły wśród chwastów w pięknym niegdyś i zadbanym warzywniku. Trudno było staremu człowiekowi podołać tak ciężkiej pracy, toteż coraz częściej Tilia zmuszona była jechać do lasu na polowanie. Inaczej domownicy by głodowali.

— Tak dalej być nie może — powtarzała sobie.

Ale czy było jakieś wyjście? Nic nie przychodziło jej do głowy. Modliła się nieustannie, lecz Bóg jakby o niej zapomniał.

Rozejrzała się po salonie. Jak pięknie tu było, kiedy matka przyjmowała gości! W kryształowych żyrandolach płonęły cienkie świece, wszędzie stały kwiaty przyniesione z oranżerii. Matka bardzo lubiła układać je w wazonach.

Poza tym, wspominała ze smutkiem Tilia, stajnie były pełne koni. Teraz został tylko staruszek Kingfisher. Kochała go, ponieważ jeździła na nirn od dziecka. Myślała z rozpaczą, co zrobi, kiedy wierne zwierzę nie będzie już miało sił nosić jej na grzbiecie. Siedząc na King-fisherze mogła choć na krótko zapomnieć o ruinie i opuszczeniu panującym w domu i uciec do lasu. Tam wymyślała baśnie o skarbach ukrytych pod drzewami lub marzyła, że odkryje rzadki gatunek drzewa, którego ogrodnicy poszukują od wieków. Historie, które sama sobie opowiadała, oraz te, które przeczytała w bibliotece, umilały jej samotność.

Po śmierci matki ojciec wyjechał do Londynu. Skończyły się wspaniałe przyjęcia w Staverly, a sąsiedzi przestali interesować się mieszkańcami pałacu. Przez cały zeszły rok Tilia nie została

zaproszona ani na jedno przyjęcie, nikt też nie złożył jej wizyty.

Dlaczego ktoś miałby szukać mego towarzystwa? — pytała siebie rozgoryczona. — A nawet gdybym dostała zaproszenie, co włożyłabym na tę okazję? Na te pytania nie było odpowiedzi. Ze swych trosk zwierzała się jedynie Kingfisherowi, ponieważ miała tylko jego.

— Równie dobrze mogłabym mieszkać na bezludnej wyspie — skarżyła mu się głośno. Koń, jakby rozumiał jej gorzyc i chciał ją pocieszyć. Trącał jej ramię aksamitnym pyskiem, a ona otaczała jego szyję ramionami i wołała:

— Ach, gdybyś był zaczarowanym rumakiem, może coś by się zmieniło na lepsze! Ale choć jesteś tylko starym, steranym życiem koniskiem, i tak cię kocham!

Jechała na nim tego ranka i nie chciała go dłużej męczyć. Poszła do ogrodu, w którym wspaniałe niegdyś grządki i klomby kwiatowe porośnięte były chwastami. Zaczynały właśnie rozkwitać krzaki bzu, migdałowce stały obsypane białoróżowym kwieciem.

Kingfisher szedł za nią jak pies. To przywiązanie starego konia stanowiło jedyną pociechę. Wyznała już Kingfisherowi, że nie mają nic do jedzenia. Potem zaprowadziła go do stajni i wróciła do domu.

Teraz siedząc w salonie, usłyszała kroki w hallu. Ciekawa była, kto to może być. O tej porze, po południu, Coblin zwykle ucinał sobie drzemkę. Zaciekawiona wyjrzała do hallu i wydała głośny okrzyk radości.

Stał tam Roby. Ku swemu zdumieniu przez uchylone drzwi dostrzegła elegancki ekwipaż zaprzężony w dwa konie. Rzuciła się na powitanie brata z otwartymi ramionami.

— Roby! Och, Roby! Jak to dobrze, że jesteś!

Zarzuciła mu ręce na szyję, a on ucałował ją serdecznie.

— Wiedziałem, że się ucieszysz. Jak się masz, siostrzyczko?

— Byłam w fatalnym nastroju, ale gdy cię ujrzałam, czuję się lepiej! — odparła Tilia. — Czemu zawdzięczam twoją wizytę? Czy coś się wydarzyło?

— Wydarzyło, i to bardzo wiele — odparł. — Mam ci mnóstwo do opowiedzenia. Ale najpierw niech Coblin pokaże mojemu stajennemu, gdzie ma zaprowadzić konie.

Oczy Tili i rozszerzyły się ze zdumienia. Wiedziała jednak, że w tym momencie zadawanie jakichkolwiek pytań mijałoby się z celem. Zostawiła Roby'ego i pobiegła długim korytarzem w stronę kuchni.

Tak jak się spodziewała, zarówno Coblin, jak i jego żona drzemali w fotelach, które kiedyś stały w gabinecie. Przez moment Tilia zawahała się. Wiedziała, jak bardzo oboje lubią swoją popołudniową drzemkę. Ale przyjechał Roby, a to było teraz najważniejsze.

Dotknęła lekko ramienia Coblina.

— Obudźcie się — powiedziała łagodnie. — Przyjechał sir Robert!

— Ech? Co takiego? — Coblin ocknął się.

— Sir Robert... właśnie wrócił. Bądź tak dobry i pokaż stajennemu, gdzie się trzyma konie.

— Sir Robert... tu? — wymruczał Coblin zdziwiony. Zaczął ociężale podnosić się z fotela.

W tym momencie otworzyła oczy jego żona.

— Ach, panno Otylio! — westchnęła. — Panienska wie, że nie mamy nic na kolację! Co podamy panu Robertowi?

Coblinowie zawsze zwracali się do niej pełnym imieniem, gdyż uważali zdrobnienie Tilia za zbyt poufałe.

— Na pewno coś się znajdzie — pocieszyła ją Tilia z przekonaniem. — A teraz muszę porozmawiać z sir Robertem. Nie wiem nawet, jak długo tu zostanie.

Coblin wreszcie dźwignął się z fotela. Nałożył frak, który do tej pory wisiał na oparciu kuchennego krzesła. Choć strój był mocno wysłużony



i przetarty w wielu miejscach, przydawał staruszkowi dostojenstwa. Wyglądał w nim jak prawdziwy kamerdyner, który doskonale zna zwyczaje i etykietę obowiązującą w wielkopańskim domu.

Przyglądził dłońmi siwe włosy i poruszając się z niezwykłą godnością ruszył korytarzem do hallu, gdzie czekał Roby. Baronet przyglądał się uważnie wiszącemu obok wielkiego zegara obrazowi przedstawiającemu pałac Staverly. Malowidło liczyło sobie sto lat i powstało w okresie georgiańskiej przebudowy. Tilia często spoglądała na obraz, wzdychając ze smutkiem, że dom nie jest taki jak niegdyś.

Kiedy siostra i Coblin zbliżyli się, Roby odwrócił się od przedmiotu swych badań.

— Dzień dobry, sir Robercie! — powitał go Coblin.

Tilia zawsze twierdziła, że głos kamerdynera brzmi niezwykle doniosłe i uroczyście oraz że przypomina jej ton biskupa.

— Witaj, Coblin — odparł Roby. — Bądź tak dobry i pokaż memu groomowi, gdzie ma zaprowadzić konie. Chłopak musi spać w pałacu, bo dach stajni przecieka.

— Tak jest, proszę pana — skłonił głowę Coblin, nie okazując cienia zdziwienia. Wyszedł frontowymi drzwiami i ruszył w stronę czekającego ekwipażu.

— Mam nadzieję, że przywiozłeś coś do jedzenia, skoro masz zamiar zostać na noc. W domu nie ma nic... dosłownie nic! Spizarnia jest kompletnie pusta!

— Nie martw się — odparł brat. — Przywiozłem cały kosz smakołyków. Na początek będzie *pate de fois gras*!

Tilia spojrzała na niego w najwyższym zdumieniu.

— Skąd to masz? Ktoś ci ofiarował? — spytała z niedowierzaniem w głosie.

— Kupiłem!

Zapadła cisza. Po chwili Tilia ostrożnie zapytała:

— Nie żartujesz ze mnie?...

— Mówię zupełnie poważnie. Poza tym mam ci mnóstwo do opowiedzenia — odparł Roby.

— Ale najpierw usiądźmy gdzieś. Nawiasem mówiąc, przywiozłem też trochę szampana!

— Ja chyba śnię! — wykrzyknęła Tilia.

— Czyżbyś nieoczekiwanie został... milionerem?

— Prawie zgadłaś! — Roby roześmiał się wesoło.

— W takim razie to miły sen! — stwierdziła Tilia.

Ruszyła przodem, prowadząc go do saloniku matki. Pokój ten był szczególnie bliski sercu

dziewczyny. Wszystko wyglądało tu dokładnie jak za życia lady Staverly. Z bardzo prostego powodu. Otóż francuskie meble salonu matki nie mogły być sprzedane, podobnie jak obrazy kupione przez dziadka po rewolucji francuskiej. To on zastrzegł, że nie wolno ich sprzedawać.

Przez okna wpadały promienie słońca i choć zasłony były nieco spłowiałe, pokój wyglądał bardzo pięknie. Poprzedniego dnia Tilia ustawiła tu wazon z narcyzami i drugi, większy, z białym bzem.

Roby podszedł do kominka i odwrócił się do niego plecami. Tilia zamknęła drzwi i spojrzała na brata.

— Wyglądasz bardzo elegancko!

— Byłem pewien, że spodoba ci się mój nowy surdut — odparł. — To pierwsza rzecz, jaką sobie kupiłem.

Tilia usiadła na jednym z krzeseł w stylu Ludwika XIV.

— Zaczynaj od początku, dobrze? Umieram z ciekawości!

— Uprzedzam, że to co powiem, zabrzmie jak fantastyczna bajka — zaczął Roby. — Otóż wyobraź sobie, że nasz los odmienił się w ciągu jednej nocy!

— Jak to? Co się stało?

— Wynająłem pałac! — oznajmił z dumą Roby.

— Wynajęłaś Staverly? Komu? Kto chciałby się wprowadzić do zrujnowanego domu? Roby roześmiał się z wyraźnym zadowoleniem.

— Byłem równie zaskoczony jak ty, kiedy Patrick O'Kelly pochwalił mi się tym, co zdziałał.

Tilia wielokrotnie słyszała opowieści brata

o jego wielkim przyjacielu Patricku O'Kellym. Był to młodszy syn hrabiego O'Kelly'ego, zubożałego irlandzkiego szlachcica. Z tego, co mówił Roby wynikało, że Patrick stał się niezastąpiony dla wielu osób z towarzystwa. Dzięki Irlandczykowi Roby mógł bywać w domach, do których bez jego pomocy nigdy by nie trafił. Zapraszano go na najrozmaitsze przyjęcia, koncerty, rauty i bankiety, które tak bardzo lubił.

— W jaki sposób Patrick O'Kelly znalazł kogoś, kto chce wynająć nasz dom? — dopytywała się Tilia. — I kto jest na tyle szalony, by płacić za wynajęcie domu będącego w takim stanie?

— Spytałem go o to samo. Odpowiedź jest prosta: Amerykański milioner!

Tilii zaparło dech z wrażenia.

— To prawda? Jakim cudem...?

— Najprawdziwsza prawda. Słowo szlachcica — odparł Roby.

— Ależ to niewiarygodne! — wykrzyknęła Tilia. — Opowiedz wszystko po kolei. Widać było, że Roby o niczym innym nie marzy.

— Jak wiesz, Patrick, choć nie ma własnych pieniędzy, stał się niezastąpiony dla wielu ważnych osobistości. Po Londynie krąży nawet żart, że Patrick potrafi załatwić wszystko, od gwiazdki z nieba po pożyczkę na niski procent!

Tilia roześmiała się.

— Chyba ci nie wspomniałem — kontynuował Roby — że tuż po świętach Bożego Narodzenia Patrick wyjechał do Ameryki. Podróż ta doszła do skutku za sprawą bogatej i pięknej przedstawicielki rodu Vanderbilt. Ale to całkiem inna historia...

Najwyraźniej przypomniał sobie, z kim rozmawia, więc szybko zrezygnował z dygresji i wrócił do tematu.

— W Nowym Jorku Patrick oczywiście zawarł mnóstwo korzystnych znajomości. Zapewne wiesz, że utytułowani Anglicy i Europejczycy masowo szukają żon wśród licznych córek amerykańskich milionerów.

Tilia nie słyszała o tym. Widząc wyraz jej oczu, brat wyjaśnił:

— Mógłbym ci wymienić kilka tuzinów nazwisk angielskich lordów i europejskich hrabiów,

którzy przebierają wśród posażnych nowojorskich panien niczym stado wybrednych kogutów!

Wyraz twarzy Tili zmięknął się gwałtownie, ale dziewczyna nie przerywała.

— No i wyobraź sobie, że dzięki Patrickowi zainicjowane zostanie coś nowego! — mówił podekscytowany.

— Co takiego? — Tilia widziała, że brat czeka na to pytanie.

— Proces odwrotny od wyżej wspomnianego — odparł z tryumfem w głosie Roby. — Otóż pewien amerykański milioner chce poślubić angielską pannę z arystokratycznego domu. Najchętniej córkę księcia!

Tilia roześmiała się.

— Ależ to niedorzeczne!

— Wbrew pozorom jest to całkiem logiczne — stwierdził spokojnie.

— A wynajęcie domu...

— Właśnie! Stąd będzie mógł rozejrzeć się wśród ewentualnych kandydatek, a możesz być pewna, że Patrick znajdzie dokładnie to, na czym zależy Amerykaninowi.

— Ale czy on weźmie pałac... w takim stanie?

— Otóż to! Mamy miesiąc na to, żeby doprowadzić dom do stanu, w jakim był za życia dziadka.

— Czy to on płaci?

— Oczywiście! — zapewnił Roby. — Jest tak bogaty, że w porównaniu z nim król Midas to żebrak.

— Jak to możliwe?

— W Ameryce wszystko jest możliwe — odparł brat. — Wiem od Patricka, że Clint Wick-ham... tak się nazywa ów milioner... odziedziczył ogromny majątek po ojcu i że jest właścicielem połowy linii kolejowych w Ameryce.

Wziął głęboki oddech, po czym mówił dalej:

— No i ponieważ pieniądze przyciągają pieniądze, okazało się, że na terenie jego posiadłości w Teksasie znajdują się największe złoża ropy, jakie odkryto w ostatnich latach!

— To brzmi zbyt pięknie, by mogło być prawdą! — zawołała Tilia. — Coś się za tym musi kryć.

— Nie bądź taka podejrzliwa! — wykrzyknął brat. — Patrick wszystko załatwił.

Wyszukujemy dom, jak się patrzy. Musimy urządzić kilka łazienek, ale to i tak trzeba by w końcu zrobić.

— Łazienek? — powtórzyła jak echo Tilia. Nigdy nie widziała łazienki. Za życia ojca lokaj nosił na górę mosiężne konwie z gorącą i zimną wodą. Do sypialni wstawiano wanny, w których domownicy zażywali kąpeli przed płonącym kominkiem. Teraz chcąc się wykapać,

Tilia musiała prosić o pomoc Coblina. Zanośli konew do biura, w którym urzędował kiedyś sekretarz ojca, położonego blisko kuchni — na drugim końcu tego samego korytarza co jadalnia. Dla starego, cierpiącego na reumatyzm człowieka był to nie lada wysiłek. Zwykle więc Tilia myła się w zimnej wodzie, którą sama zanośli na górę.

— Patrick uważa — ciągnął Roby — że na początek powinniśmy mieć dziesięć łazienek.

— Ależ nie ma tyle wolnych pomieszczeń!

— zaproponowała Tilia.

— Znajdą się — stwierdził spokojnie Roby.

— Są przecież toalety, a kilka lepszych pokoi ma garderoby. Możemy też przerobić kilka schowków.

— Po co tyle łazienek? — spytała Tilia z niechęcią.

Brat uśmiechnął się.

— Amerykanie mają bzika na punkcie czystości. Jeżeli Clint Wickham nie będzie miał swoich łazienek, nie wynajmie Staverly.

— W takim razie niech ma te łazienki i w ogóle wszystko, co tylko zechce!

— Oto słuszne podejście, Tilio! — wykrzyknął Roby. — Mamy niewiele czasu, więc muszę koniecznie znaleźć w okolicy murarzy, cieśli



i rzemieślników, którzy mogliby się zabrać do pracy.

— Coblin ci w tym pomoże.

— Tak, oczywiście. Poproszę też tego starszego majstra w wiosce, który remontował dom za życia papy.

— A, masz na myśli Williama Emersona!

— przypomniawszy sobie Tilia. — Żyje, ale nie jest już tak sprawny jak dawniej.

— Będzie nam potrzebna każda para rąk

— stwierdził Roby. — Przede wszystkim muszą uszczelnić okna w moim pokoju. Kiedy ostatni raz tam spałem, był potworny przeciąg!

— Możesz na razie nocować w innym pokoju. Choć prawdę mówiąc, w każdym coś szwankuje.

— Wszystko musi być zrobione szybko i porządnie! — oznajmił Roby.

— A ile ten milioner zapłaci? Zdaje się, że o to przede wszystkim powinienem zapytać.

— Teraz uważaj! — odparł jej brat. — To jest najbardziej niewiarygodne.

— Mówże! — niecierpliwiła się Tilia.

— Pokryje koszty wszelkich napraw, zasłon, zastawy i dywanów, czyli praktycznie zapłaci za wszystko. Ponadto przez cały czas jego pobytu w Staverly będziemy dostawać dwa tysiące funtów rocznie!

Tilia wydała okrzyk, który odbił się echem. Zerwała się na równe nogi i zarzuciła bratu ramiona na szyję.

— Roby, jesteśmy ocaleni! Ocaleni! Moje modlitwy zostały wysłuchane... a wszystko dzięki tobie! Jakie to szczęście, że zaprzyjaźniłeś się z Patrickiem O'Kellym!

— Tak, parę razy okazał się przydatny — przyznał Roby. — Ale nigdy nie przypuszczałem, że załatwi coś tak fantastycznego!

— To jest najwłaściwsze słowo! — entuzjazmowała się Tilia. — Och, teraz, kiedy pan Wickham jest naszym dzierżawcą, możemy przenieść się do dworku.

Uśmiechnęła się i po chwili mówiła dalej:

— Zawsze kochałam ten mały domek. No i jest w o wiele lepszym stanie niż pałac.

Oczywiście musimy zabrać ze sobą najładniejsze rzeczy mamy, przede wszystkim meble z tego pokoju.

Była w niezwykłej euforii, w głosie jej dźwięczała dawno nie słyszana radość. Nagle uświadomiła sobie, że brat przygląda się jej w milczeniu, a jego oczy mają dziwny wyraz.

Zaniepokoiła się:

— Czy jest coś, o czym mi nie powiedziałaś?

— Nic na tym świecie nie jest naprawdę doskonałe — rzekł wolno. — Do tego, o czym przed chwilą mówiłem, dochodzi jeden warunek.

— Warunek?

— Obawiam się, że nie będziesz nim zachwycona — rzekł Roby niewyraźnie.

Tilia usiadła na krześle.

— Cóż to takiego? — spytała. — Chyba pan Wickham nie ma zamiaru zażądać czegoś... niewłaściwego?

— To nie pan Wickham.

— W takim razie kto?

Roby długo zastanawiał się nad tym, jak jej to przekazać. Wreszcie odezwał się:

— Patrick działa nie sam, ale w porozumieniu z pewnym człowiekiem z Nowego Jorku, który już kiedyś korzystał z jego usług.

— Nie rozumiem...

— Spróbuję ci to wyjaśnić — rzucił Roby poirytowanym tonem — choć nie będzie to łatwe.

— Dlaczego?

— Otóż ów przyjaciel Patricka za wszelką cenę pragnie przystąpić do spółki z Wickha-mem... Mam na myśli spółkę w interesach, które idą tak pomyślnie.

— Czemu nie zwróci się z tym do pana Wick-hama? — zapytała Tilia.

— Wickham pracuje sam i nie ma ochoty na żadne spółki ani wtajemniczanie kogoś w swoje sprawy.

Tilia nadal niczego nie rozumiała.

— Znajomy Patricka—ciągnął Roby—chce, żeby tu, w Staverly, zamieszkał ktoś, kto będzie miał uszy i oczy otwarte na wszystko. Jeżeli uda się ustalić, jakie ma być następne posunięcie Wickhama w interesach... czyli jeżeli Wickham zdradzi się w taki czy inny sposób, gdzie ma zamiar inwestować pieniądze, Patrick powinien zostać o tym bezzwłocznie poinformowany.

— To strasznie skomplikowane — zamyśliła się Tilia. — Nie wyobrażam sobie, kto mógłby się tym zająć. Takie zadanie znacznie przekracza możliwości służby.

— Otóż to! — odparł brat. — Dlatego zgodziłem się z sugestią Patricka, że jedyną osobą, która temu podda... jesteś ty.

— Ja! — wykrzyknęła zdumiona Tilia. — A cóż ja mogłabym mieć z tym wspólnego?

— Właśnie staram się dojść do tego — odparł cierpko Roby. — A ty ciągle mi przerywasz! Tilia pomyślała, że słowa brata są niesprawiedliwe. Zacisnęła dłonie i urażona dumnie podniosła głowę.

— Clint Wickham — zaczął wolno Roby — ma córkę.

— Nie mówiłeś, że jest żonaty! — bez zastanowienia wykrzyknęła Tilia.

— Jest wdowcem. Żona umarła cztery lata temu. Jego córeczka ma obecnie siedem lat.

Przerwał na chwilę. Tilia nie odzywała się. Ciągnął więc:

— Jednym z powodów, dlaczego chce mieć ładny dom i posiadłość, jest to, że przyjeżdża do Anglii z córką. Patrick ma znaleźć dla niej guwernantkę.

Zapadła cisza. Oczy Tili rozszerzyły się. Z trudem powstrzymywała się przed zadawaniem pytań.

— Ponieważ osobą, o której wspomniałem, musi być ktoś, komu Patrick ufa, dlatego to ty zostaniesz guwernantką córki Wickhama.

Tilia patrzyła na brata oszołomiona.

— To znaczy, że mam szpiegować, tak? Nigdy! Przenigdy! Nie mogłabym robić czegoś takiego!

Roby wykonał ledwie dostrzegalny gest ręką. Przeszedł przez pokój i wyjrzał przez okno.

— Przepraszam cię, Roby — rzekła cicho Tilia. — Ale sam wiesz, że nasza mama... mama nie pozwoliłaby na coś podobnego. A poza tym nie potrafiłabym... nie poradziłabym sobie.

Zapadło milczenie. Przerwał je Roby:

— No cóż. To przesądza sprawę. Ciekawe tylko, jak będziesz żyć bez grosza przy duszy!

— To nie tak... — stwierdziła z wyrzutem Tilia — ale...

— Nawiasem mówiąc — ciągnął Roby nie odwracając się od okna — Patrick dał mi tysiąc funtów na najpilniejsze wydatki. Pięćset wziąłem dla siebie, a tu jest pięćset, które należą do ciebie.

— Pięćset funtów! — wyszeptała Tilia.

Nie wierzyła własnym uszom. Jak to? Mogłaby wejść w posiadanie tak niewyobrażalnej sumy?... W pierwszej kolejności zapłaciłaby Coblinom, którzy nie dostali pensji od blisko roku. Kupiłaby porządny owies dla Kingfishera. Biedny koń był słaby nie tyle ze starości, ile z braku przyzwoitej paszy. Coblinów przerażała nie tylko perspektywa głodu. Bali się przede wszystkim tego, że pałac popadnie w ruinę, a oni nie będą mieli dokąd pójść.

Wiedzieli równie dobrze jak ona, że nie ma pieniędzy, by zabezpieczyć ich na starość.

Nawet gdyby jakimś cudem znalazł się na wpół zrujnowany domek, nie mieliby za co w nim żyć. Pięćset funtów! Miała wrażenie, że suma ta jest wypisana na ścianie ognistymi cyframi. Przecież gdyby Roby jadąc tu, przezornie nie zabrał ze sobą żywności, nie mieliby co jeść. Spojrzała na odwróconego tyłem brata.

Podobnie jak ona doskonale rozumiał, jakie znaczenie ma dla każdego z nich owe pięćset funtów, a także pieniądze, które nadejdą później. Dwa tysiące funtów za dom, który zosta-

nie ponadto przywrócony do dawnej świetności. Uporządkuje się zaniedbane ogrody, opadające tarasami do rzeki. Zarosły zielskiem warzywnik znów będzie zaopatrywał pałacową kuchnię. Odnowi się oranżerię... a to oznacza własne winogrona, brzoskwinie, śliwki i czereśnie... Będzie tak, jak kiedyś, w beztroskich latach dzieciństwa.

Jeśli powie „nie”, jeśli odmówi podjęcia się ponizającej roli, na kim to zrobi wrażenie? Roby bez słowa czekał na odpowiedź. Tilia niemal fizycznie wyczuwała jego rozczarowanie i niechęć. Nie mogła znieść tej przytłaczającej ciszy. Głosem drżącym i niepewnym zapytała:

— Co... miałabym robić? Odwrócił się.

— A więc zgadzasz się, Tilio?

— Boję się, że nie poradzę sobie i Patrick będzie wściekły!

— Jeżeli ci się nie uda, to trudno. — Roby ruszył w jej stronę. — Ale zostaniemy w odnowionym domu i z pieniędzmi za wynajem. Postaram się, by w umowie najmu znalazło się zastrzeżenie, że płatności mają być regulowane miesięcznie.

Podszedł bliżej i spojrzał na nią.

— Przepraszam cię za to wszystko, Tilio — powiedział serdecznie. — Ale mam nóż na

gardle i muszę przystać na propozycję Patricka.

— Wiesz... boję się! — wyszeptała Tilia.

— Nie martw się, nie będzie tak źle, zobaczysz — pocieszył siostrę. — Aha, jeszcze jedno. Będziesz występować pod innym nazwiskiem.

Po raz kolejny zaskoczył Tilie.

— Jak to? Co to znaczy?

— To pomysł Patricka. On uważa, że lepiej będzie, jeśli Wickham nie dowie się, iż jesteś moją siostrą.

— Czy to ma aż tak wielkie znaczenie?

— Niestety tak. Obiecałem Patrickowi, że pomogę mu wprowadzić Wickhama w towarzystwo, w którym spodziewa się znaleźć dla siebie narzeczoną.

— Rozumiem! — wykrzyknęła Tilia. — Czułbyś się niezręcznie, że twoja siostra jest zwykłą guwernantką!

— Właśnie — potwierdził Roby. — I dlatego będziesz pracować pod innym nazwiskiem. Zamilkł na chwilę, po czym dodał:

— Najważniejsze, żebyś została w pałacu. Będziesz obserwować, kto przyjeżdża i wyjeżdża. Będziesz miała okazję dowiedzieć się czegoś o interesach czy nowych spółkach...

Tilia już miała się obruszyć, że nie ma zamiaru czytać cudzych listów czy dokumentów, ale



nic nie powiedziała. Cały pomysł wydawał się jej odrażający, lecz jednocześnie wiedziała, że jej opinia nie ma najmniejszego znaczenia. Dla niej i dla Roby'ego była to walka o przeżycie. Jakby czytając w jej myślach, Roby powiedział:

— Wiem, co czujesz. Jeżeli odmówisz, do czego masz w końcu prawo, Patrick znajdzie dom na południu Londynu. Jest tam wiele rezydencji, które odpowiadałyby Wickhamowi na równi ze Staverly.

Tilia westchnęła ze smutkiem. Brat postawił sprawę jasno. Nie ma wyjścia, trzeba się poddać i przyjąć warunki, choćby wydawały się niemiłe. W grę wchodziło przetrwanie — nie tylko jej, ale także Coblinów i Kingfishera.

## 2

Trzy dni po tej rozmowie Roby zaczął objeżdżać hrabstwo w poszukiwaniu robotników. Tilia tymczasem po otrzymaniu od Roby'ego obiecanych pięciuset funtów natychmiast wypłaciła Coblinom zaległe pensje. Staruszkowie wzruszyli się do łez. Wiedziała, że cokolwiek się stanie, nie może zostawić wiernych służących na łasce losu. Potem poprosiła Williama Emersona, by przysłał jednego z robotników pracujących w pałacu do poczynienia niezbędnych napraw w domkach w wiosce. Przeznaczyła na ten cel sto funtów. Resztę pieniędzy postanowiła odłożyć. Przyszłość nadal rysowała się jako wielka niewiadoma. Ciągle nie wiedziała, ile Roby wypłaci jej z dochodów za dzierżawę. Któregoś wieczoru podczas kolacji stwierdził pewnym siebie tonem:  
— Z pensji guwernantki przynajmniej kupisz sobie nowe ubrania.

— Nowe ubrania? — powtórzyła Tilia. W pierwszej chwili nie zorientowała się, o co mu chodzi. Potem roześmiała się. — No tak, nie wypada, żeby guwernantka córki milionera miała połataną i pocerowaną suknię, jak ze stracha na wróble!

— Otóż to — podchwycił Roby. — Powinnaś trochę zadbać o siebie... co oczywiście nie znaczy, że masz kokietować Wickhama.

— I tak nie miałabym szans, skoro interesują go tylko księżniczki! — uśmiechnęła się Tilia.

Jedli podawane przez Coblina przysmaki, które przywiózł Roby. W pewnej chwili Tilia powiedziała:

— Przyjęłam twoje warunki, Roby. Chciałabym, byś zgodził się na moje.

— Słucham cię.

— Pan Wickham z pewnością będzie wolał mieć młodszą służbę, musimy więc ulokować gdzieś Coblinów. Jak wiem, w wiosce nie ma wolnych domków.

— Co zatem proponujesz? — spytał Roby patrząc na nią uważnie.

— Umieścimy ich w dworku. Będziesz się mógł tam zatrzymać, ilekroć przyjedziesz z wizytą. A ja będę miała dokąd wrócić, jeżeli wyrzucą mnie z posady.

— Tylko nie to! Nie możesz do tego dopuścić! — wykrzyknął Roby.

— Zgadzam się z tobą i dołożę starań, by pan Wickham był ze mnie zadowolony. Jeśli jednak mimo wszystko stracę pracę, przynajmniej będę miała gdzie się podziąć — stwierdziła Tilia nie bez racji. — A czyż może być lepsze miejsce niż dworek, z którym łączy nas tyle wspomnień?

— Właściwie to niezły pomysł — zgodził się Roby.

— To mój warunek, jeżeli mam postępować zgodnie z życzeniem Patricka O'Kelly'ego — powiedziała Tilia stanowczo. — A i tak nie można zostawić Coblinów w pałacu. Prędzej czy później mogłoby im się wymknąć „panienka Otylia”, a Patrick pewno wymyślił dla mnie inne imię.

— Dobrze — zgodził się Roby. — Załatwione. Będzie, jak sobie życzysz.

— Dziękuję — odparła Tilia. — I jeszcze jedno. Chciałabym zabrać ze sobą kilka szczególnie cennych rzeczy mamy...

Roby nie odpowiedział, ale widać było, że nie zamierza się sprzeciwiać.

Następnego dnia poszła do dworku, chcąc się zorientować, co im tam będzie potrzebne.

Był to piękny dom z czerwonej cegły, zbudowany za panowania królowej Anny. Każdy detal świadczył

o starannie przemyślanym zamyśle architekta. Pokoje były nieduże, za to wysokie, starannie utrzymywane podłogi zachowały się w doskonałym stanie. Sufity prezentowały się o wiele lepiej niż w Staverly. Umeblowanie w przeważającej części pochodziło z okresu budowy domu. Zasłony były dość zniszczone, ale i na to znalazła się rada: okna w dworku były dużo mniejsze niż w pałacu, można więc było wykorzystać lepiej zachowane fragmenty wymienianych zasłon pałacowych, niewystarczająco dobrych dla pana Wickhama.

Im częściej o nim słyszała, tym sugestywniej wyobrażała sobie, że ich dobrodziej musi być człowiekiem niesympatycznym.

— Dlaczego przyjeżdża po utytułowaną żonę właśnie do Anglii? — spytała Roby'ego.

— Patrick mówił, że matka Wickhama była Angielką — wyjaśnił Roby.

Była to dość niespodziewana wiadomość, lecz Tilia powstrzymała się od komentarza.

— Pewnie Wickham uwielbiał matkę — ciągnął dalej brat — a ona opowiadała mu o Anglii i Anglikach.

Brzmiało to bardzo prawdopodobnie.

— Kiedy stał się tak niebywale bogaty, postanowił założyć dynastię i zapewnić nazwisku Wickham sławę po obu stronach Atlantyku.

— Pewnie się starzeje — mruknęła Tilia — i dlatego koniecznie chce mieć jak najszybciej syna albo najlepiej kilku.

— Starzeje? — powtórzył Roby. — Skąd ci to przyszło do głowy? Wickham to stosunkowo młody człowiek!

Była to dla Tili i kolejna rewelacja.

— Myślałam, że skoro prowadzi tak poważne interesy, musi mieć co najmniej czterdzieści lat!

Roby zaśmiał się.

— Ma niewiele ponad trzydzieści. W Ameryce wcześniej zaczyna się robić karierę. Pewnie przejął interesy po ojcu, gdy tylko osiągnął pełnoletność.

— Skoro jest młody — wyraziła swoje wątpliwości Tilia — to nie rozumiem, dlaczego nie może zakochać się w jakiejś ładnej Amerykance, tylko szuka panny z arystokratycznego rodu?

— Z takimi pieniędzmi może sobie pozwolić na wszystko. Patrick obiecał, że przedstawi go księciu Walii.

Ta wiadomość Tili i nie zdziwiła. Roby opowiadał jej o oburzeniu pewnych londyńskich kół, że księżę zaprasza do Marlborough House ludzi z różnych sfer, których dotąd nie przyjmowano w kręgach rodziny królewskiej. Jakby odgadując jej myśli, Roby dodał:

— Jego królewska wysokość lubi otaczać się bogaczami, a ponieważ Wickham jest bardzo bogaty, zostanie przyjęty z otwartymi ramionami!

Zasłyszane wiadomości budziły w Tilii niesmak. Nawet wysokość sumy wydanej na to, by pan Wickham mógł wygodnie zamieszkać w Staverly. Choć powtarzała sobie, że powinna być mu wdzięczna, z każdym dniem czuła do niego coraz większą niechęć. Drażniło ją, że Roby wprost wychodził ze skóry, żeby wszystko wypadło jak najlepiej.

Tymczasem niespodziewanie zawitał do Staverly Patrick O'Kelly. Przybył eleganckim, lekkim powozem, zaprzężonym w konie, na które z własnej kieszeni na pewno nie mógł by sobie pozwolić. A zatem albo je pożyczył, albo zapłacił za nie pan Wickham.

Patrick O'Kelly okazał się człowiekiem sympatycznym. Był to typowy Irlandczyk o układnym obejściu charakterystycznym dla mieszkańców „szmaragdowej wyspy”.

Nieustannie prawił Tilii komplementy, ona jednak miała świadomość, że gość cały czas krytycznym okiem przygląda się postępowi prac. Roby niewątpliwie dokonywał cudów. Robotnicy pracowali bez wytchnienia od świtu do nocy.

— Skończyli naprawę dachu — relacjonował z dumą Roby. — Zabrali się za uszkodzone su-

fity. Poza tym zatrudniłem świetnego malarza, który odświeży stare freski.

Patrick O'Kelly był wszędzie, sprawdzał wszystko, nie omieszkał nawet pochwalić posiłków. Tilia zatrudniła dwie kobiety z wioski do pomocy pani Coblin. Nie martwiła się już o to, co będą jeść z Robym. Teraz stać ich było na wyszukane przysmaki. Musiała za to myśleć o posiłkach dla ciężko pracujących robotników. Choć mogła sobie pozwolić na dodatkową pomoc, starała się nie wydać wszystkiego i odłożyć coś na czarną godzinę. Chcąc uczcić przyjazd Patricka, Roby kupił dobre wino, a i Irlandczyk przywiózł ze sobą sześć butelek szampana. Po sutym obiedzie zasiedli w niebieskim saloniku, w którym jeszcze nie zaczęły się prace remontowe.

— Odwaliłeś kawał roboty, Roby! — pochwalił przyjaciela Patrick. — Ale muszę cię o czymś uprzedzić. Słyszałem od znajomego, że Wickham może przybyć wcześniej, niż się go spodziewamy!

— Chyba nie zrobi nam tego! — wykrzyknął Roby.

— Zrobi, jeżeli zechce, i nic go nie powstrzyma — odparł Patrick. — Więc bądź przygotowany!

Roby jęknął.



— Tyle jest jeszcze pracy! Nie sprowadziliśmy wszystkich mebli!

— Siostra z pewnością ci pomoże—uśmiechnął się Patrick.

Spodziewała się, że zaraz znów padnie jakiś przesadny komplement. Od pierwszej chwili miała wrażenie, że Irlandczyk bacznie ją obserwuje, jakby chciał się upewnić, czy jest właściwą osobą do wykonania jego instrukcji. Wyprostowała się z godnością. On tymczasem mówił dalej:

— Zapewne brat poinformował panią, panno Staverly, jak wiele zależy od pani...

Nie odpowiedziała. Czekwała w chmurnym milczeniu.

— Jeżeli Wickham nie będzie zadowolony z domu... — ciągnął Patrick — jeśli coś wzbudzi jego niechęć... może się wycofać i zamieszkać gdzie indziej.

— Na miłość boską, nie możemy do tego dopuścić! — wybuchnął Roby. — Za pieniądze, jakie nam płaci za dzierżawę domu, niech tu sobie siedzi do końca świata!

Tilia z trudem zapanowała nad sobą, by nie krzyknąć. Nie mogła znieść myśli, że ktoś obcy, jakiś Amerykanin, będzie zawsze mieszkał w jej rodzinnym domu. Oczywiście cieszyła się ogromnie, że dom zostanie wyremontowany, lecz jednocześnie modliła się gorąco o to, by

Roby jak najszybciej bogato się ożenił. Wówczas dzięki posagowi jego żony będą mogli zamieszkać tu razem. Tak często ostatnio powtarzał, że nie stać go na syna i dziedzica! Ona jednak żywiła w duchu nadzieję, że cud się zdarzy, że brat jej osiadzie w końcu w Staverly i założy rodzinę. Wtedy wszystko znowu będzie jak dawniej, kiedy żyli rodzice. O sobie, o swojej przyszłości w ogóle nie myślała, poza jedną żartobliwą refleksją, że jeśli zostanie sama, mając do towarzystwa tylko Kingfishera, pomалу stanie się zdziwaczalą starą panną. Podczas rozmów o planach małżeńskich pana Wickhama często przychodził jej na myśl Roby. Teraz dopiero uświadomiła sobie, że nigdy nie dotarły do niej żadne plotki o tym, by się w kimś kochał w Londynie. On zaś w rozmowach nie poruszał tego tematu. Zapewne była w jego życiu jakaś kobieta. Może, jak w przypadku ojca, chodziło o kobiety „za szybkie” i dlatego siostra nie miała prawa o nich wiedzieć?

Gdy Patrick umilkł, spojrzała na brata.

— Dołożymy wszelkich starań, by zadowolić Wickhama, Patricku — odezwał się Roby.

— Ty, jak się zdaje, masz w związku z tym pewne plany.

— Kiedy dom będzie gotów i Wickham się wprowadzi, będą tu organizowane wielkie przy-

jęcia — powiedział Patrick. — Z tego co o nim słyszałem, wnoszę, że on chętniej przyjmuje gości, niż bywa.

— Będą mu zatem potrzebne konie.

— Właśnie o tym chciałem porozmawiać

— powiedział Patrick. — W Londynie w przyszłym tygodniu odbywa się sprzedaż koni. Chciałem, byś pojechał ze mną. Czas zacząć zapełniać stajnie.

Oczy Roby'ego rozbliły.

— Z największą rozkoszą! — wykrzyknął.

— Ale nie wiem, czy mogę zostawić robotników bez nadzoru.

— Ach, twoja siostra na pewno doskonale sobie poradzi — stwierdził Patrick.

— Raczej tak — przyznał Roby nieco niechętnie.

— Dołożę wszelkich starań — obiecała Tilia

— ale jeśli coś wyjdzie nie tak, nie miejcie do mnie pretensji!

Patrick wstał z krzesła i usiadł na sofie obok Tili.

— Chciałbym teraz pomówić o pani roli w tym wszystkim.

Roby także się podniósł.

— To ja tymczasem wymknę się na chwilę na górę i zobaczę, jak tam sobie radzą w głównej sypialni.

Wyszedł, nim Tilia zdążyła cokolwiek powiedzieć. Kiedy zamknął za sobą drzwi, poczuła zażenowanie. Z niechęcią i obawą oczekiwała słów Patricka.

— Wiem, że wiele zrobi pani dla brata — zaczął pochlebny, słodkim jak miód głosem, wymawiając wyrazy z lekko wyczuwalnym irlandzkim akcentem.

— Zgodziłam się na pewne rzeczy — odparła Tilia — ale mówiąc szczerze, bardzo się boję, żeby nie zaszkodzić...

— Na pewno wszystko pójdzie dobrze — zapewnił Patrick. — Wiele zależy od pani...

— Nie bardzo wiem, o co panu chodzi — odparła z wahaniem.

Patrick zamyślił się. Zastanawiał się, ile może jej powiedzieć, żeby nie zdradzić zbyt wiele. Czekala, miała uczucie, że jest małą muszką schwytaną w pajęczynę intryg.

— Widzi pani — podjął Patrick — mój znajomy z Ameryki, któremu zawdzięczam to, że mam się zajmować panem Wickhamem po jego przyjeździe do Anglii, jest człowiekiem bardzo wpływowym i przy tym szalenie wymagającym.

Tilia nie patrzyła na Patricka, ale słuchała go z napiętą uwagą.

— Za swoje pieniądze chce zyskać jak najwięcej — ciągnął Irlandczyk. — Kiedy nie

otrzymuje tego, na czym mu zależy, potrafi być... niemiły.

— Czy sugeruje pan, że coś mi może grozić z jego strony? — spytała Tilia.

— Nie, skądże znowu! Oczywiście, że nie — odpowiedział szybko Patrick. — Ale gdy w grę wchodzi pieniądze, Amerykanów ponosi czasem temperament.

— Co pan ma na myśli mówiąc „ponosi temperament”? — dopytywała się Tilia.

Patrick zrobił wymowny gest ręką i powiedział szybko:

— Nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły. I błagam cię, Tilio... pozwól, że nie będę już dłużej zwracać się do ciebie „panno Staverly”... dowiedz się czegoś, co zadowoli mego znajomego.

— A jeśli mi się to nie uda? — spytała odważnie Tilia. — Nawiasem mówiąc, mam na imię Otylia.

Nie chciała, by obcy zwracał się do niej imieniem używanym tylko przez rodziców i Roby'ego. Zapadła cisza, po czym Patrick odparł spokojnie:

— Wtedy, Otylio, wszyscy na tym stracimy!

Odniosła wrażenie, że zamierzał powiedzieć coś całkiem innego. On tymczasem dodał szybko:

— Zdaję sobie sprawę, jakie to dla ciebie trudne. A ponieważ jesteś taka śliczna, jestem pewien, że wszystko pójdzie jak po maśle.

— Nie liczę za bardzo na swój wygląd — odparła Tilia zimno. — Znacznie bardziej przydatny bywa rozsądek.

Patrick zaśmiał się.

— Myślę — dodała — że nasza biedna mama byłaby zgorszona, że mam zamieszkać pod jednym dachem z obcym mężczyzną.

— Na pewno by tak było, gdybyś tu przebywała jako gość — odparł Patrick — ale twoja sytuacja jest inna. Będiesz pracowała dla pana Wickhama, a jego interesuje jedynie to, czy należycie opiekujesz się jego córką i czy jesteś dobrą nauczycielką.

Zauważył, że Tilia przestraszyła się nieco, więc dodał:

— Nie poczytaj mi tego za nieuprzejmość, ale choć jesteś naprawdę ładna, nie kwalifikujesz się do kręgu osób, które interesują Wickhama. Jedynie książęta i lordowie biorą udział w wyścigu. W dodatku faworytem jest rodzina królewska!

Tak jak się spodziewał, Tilia roześmiała się z żartu.

— Wiem, że nie mam szans na start w tej gonitwie. To znacznie upraszcza całą sprawę.

— Nie tylko upraszcza, ale i twoją tu obecność czyni stosowną pod względem towarzyskim — stwierdził Patrick. — Możesz mi wierzyć, bo w dziedzinie intryg towarzyskich jestem ekspertem.

Tilia już miała odpowiedzieć, że nie ma ochoty dać się wplątać w żadną intrygę, ale zaniechała tego. Niestety, kości zostały rzucone, propozycja przyjęta i nawarzone piwo trzeba wypić!

Po tej rozmowie obeszła z Patrickiem i z Robym cały dom. Musiała przyznać, że to cudowne uczucie móc wydawać tyle, ile dusza zapragnie. Pałac Staverly prezentował się jeszcze okazalej niż za dawnych dobrych czasów. Na dole czekał na nich rzemieślnik, który miał zająć się zasłonami.

Patrząc na jedwabie, satyny i aksamity Tilia doszła do wniosku, że dla domu warto poświęcić własne uczucia i ambicje. Kiedy szła spać, powtarzała sobie, że oboje z Robym powinni być wdzięczni O'Kelly'emu. Pomyślała jednak, że Patrick jako Irlandczyk podjął wyzwanie w brawurowy sposób, nie licząc się z kosztami i nie biorąc pod uwagę ryzyka. Miała nieprzyjemne uczucie, że przez niego Roby też znalazł się w ryzykownym położeniu, i to nie zdając sobie z tego sprawy. Ona również znalazła się w sytuacji, w której liczą się wyłącznie pienią-

dze. Czytała kiedyś, że giełda na Wall Street w chwilach kryzysu przemienia się w pole bitwy. Jeśli to prawda, w każdej chwili sama może trafić na linię ognia. Zaśmiała się z ponurych wizji roztaczanych przez bujną wyobraźnię.

W końcu kto się dowie, że doniosła o czymś Patrickowi? Było mało prawdopodobne, by ktoś mógł podejrzewać, że skromna guwernantka pełni tajną misję! A mimo to się bała! Modliła się gorąco, prosząc zmarłych rodziców, aby czuwali nad nią i wspierali w potrzebie.

— Jestem wykończony! — Roby rzucił się na sofę.

— Och, uważaj! — zawołała Tilia. — Dopiero co została odświeżona. Jeśli pobrudzisz obicie, trzeba będzie zacząć czyszczenie od nowa.

Przez cały dzień Roby pracował w domu. Nie tylko wydawał polecenia, ale sam też ostro wziął się kilka razy do pracy. Upłynęły trzy tygodnie od rozpoczęcia robót, a Tili wydawało się, że minęły trzy lata. Patrick przyjeżdżał często i ponaglał ich. Pisał do Roby'ego niemal codziennie, za każdym razem przedstawiał nowe pomysły dotyczące wprowadzenia kolejnych zmian. Czasem jego żądania były trudne do zrealizowania. Któregoś dnia napisał:



*Pomyślałem, że ogród znacznie lepiej by się prezentował, gdyby była w nim fontanna. Widziałem jedną, która świetnie by się nadawała, sprowadzoną z Francji. Kosztowała jedynie 1500 funtów. Należałoby ją tak umieścić, by była widoczna z okien salonu.*

Po przeczytaniu tego listu Roby jęknął.

— Co on sobie u licha wyobraża! Że mu zainstaluję tu fontannę? — jęczał. — A skąd wezmę wodę? Z jeziora? Ciekawe, jak ją zmusić, by popłynęła pod górę!

— Nie przejmuj się pomysłami swego przyjaciela — uspokajała brata Tilia.

Miała jednak wątpliwości, czy Roby zastosuje się do jej rady. Patrick przysłał konie, zanim połowa budynków stajennych została wyremontowana. Potem nadszedł powóz i elegancka mała bryczka, a powozownie nie były jeszcze gotowe.

— Muszę koniecznie napisać do Patricka — powiedział Roby — że główne pokoje są już ukończone. Jeśli pan Wickham wcześniej się zjawi, będzie mieć robotników tylko w jednym ze skrzydeł na drugim piętrze.

— Nie rozumiem, dlaczego Patrick nie namówi go na spędzenie dodatkowych paru dni wśród książąt. Mielibyśmy więcej czasu — mruknęła Tilia.

— Patrick na pewno zatrzyma Wickhama w Londynie, jak długo się da — odparł Roby.  
— Wynajął tam dom dla niego, a poza tym mnóstwo ludzi pragnie go poznać.  
— To pierwsza pocieszająca wiadomość, jaką usłyszałam od ciebie! — wykrzyknęła Tilia.  
— Teraz, gdy niemal uporaliśmy się z robotą, powinniśmy pomyśleć o służbie.  
— Patrick się tym zajmuje — odparł Roby.  
— Nic mi nie powiedziałaś! — powiedziała z wyrzutem Tilia.  
— Zapomniałem, przepraszam. Patrick zatrudnił kamerdynera, dawniej służącego u księcia Newcastle. On z kolei ma dobrać lokai. Wiem też, że znalazł francuskiego kucharza, podobno najlepszego w Anglii. Przejmie kuchnię i wszystko, co się łączy z gotowaniem.  
— A co z gospodynią? — spytała Tilia.  
— Głowę daję, że Patrick ma już kogoś na tę posadę — odpowiedział Roby. — Nie musisz się więc tym martwić. Zajmij się szkolnym pokojem i swoją sypialnią.  
Tilia uśmiechnęła się.  
— Już to zrobiłam. Mój pokój wygląda naprawdę pięknie! Koniecznie musisz go zobaczyć. Z wielką przyjemnością zamieszkałam tam, gdzie byliśmy tacy szczęśliwi jako dzieci.  
Jej głos zmiękł, kiedy mówiła:

— Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień to ty galopujący na koniu na biegunach. Tak bardzo wtedy pragnęłam też się na nim przejechać!

— Będziesz musiała poprosić Wickhama, żeby pozwolił ci korzystać ze swoich koni, przynajmniej pod jego nieobecność — powiedział Roby. — Ten, na którym jechałem dziś rano, jest po prostu wspaniały!

Mimo rozlicznych zajęć Roby zawsze znajdował czas, żeby pojeździć godzinę przed śniadaniem. Wiejskie powietrze i wczesne kładzenie się do łóżka sprawiło, że nabrał zdrowego wyglądu i jeszcze bardziej wyprzystojniał. Kiedy przyjechał z Londynu, wyglądał na zmęczonego i wyczerpanego. Życie towarzyskie, nocne hulanki i nadużywanie alkoholu najwyraźniej mu nie służyły. Teraz natomiast wyglądał jak nowo narodzony.

Pomyślała, że to samo da się powiedzieć o Kingfisherze. Miała rację, uważając, że to z braku odpowiedniej paszy koń wyglądał na starego i zmęczonego.

Teraz, przy koniach sprowadzonych dla Clinta Wickhama, zwierzę przeżywało drugą młodość. Tilia rozkoszowała się jazdą na nowych koniach, czuła się jednak trochę winna, że zdradza starego przyjaciela. Któregoś dnia pojechała do lasu.

W ciągu ostatnich trzech tygodni wszystko zaczęło kwitnąć. Wiosna była piękna i tylko to się liczyło. Gdyby wtedy ktoś kazał jej chować się pod łózkami, skakać do jeziora czy podszuchiwać pod drzwiami, niewiele by ją to obeszło...

— Zmęczyłem się przesuwaniem mebli. — Słowa brata przywróciły jej poczucie rzeczywistości. — Idę wziąć kąpiel.

— Woda naprawdę jest gorąca? — spytała Tilia z niedowierzaniem.

— Wczoraj była gorąca — odparł Roby. — A rano?

— Raczej letnia — odparła Tilia. — Ale mnie wystarczy sam fakt, że leci z kranu!

Roby zaśmiał się.

— Jeśli weźmiesz kąpiel przed obiadem, porównamy obserwacje — powiedział. — Dziś już na pewno będzie gorąca!

Wyszedł z salonu i nie usłyszał odpowiedzi siostry. Kiedy Tilia została sama, rozejrzała się po pokoju. Na podłodze leżał nowy dywan, w oknach wisiały nowe zasłony, francuskie meble zostały starannie odrestaurowane i odświeżone. Poduszki na sofach i fotelach otrzymały nowe pokrycia. Oryginalne meble w stylu Ludwika XIV obito kosztownym błękitnym adamaszkiem.

— Mama byłaby zachwycona! — westchnęła Tilia.

Poszła do swego pokoju, bo przypomniała sobie, że w garderobie wisi przyniesiona od krawcowej nowa suknia. Po uwadze Roby'ego na temat strojów Tilia kupiła trochę taniego materiału od domokrażcy, który zjawiał się raz w tygodniu. Poprosiła, by następnym razem przyniósł jej droższy materiał, w określonym przez nią kolorze.

Kramarz, który zaopatrywał mieszkańców wioski, przywiózł Tili i trochę pięknego niebieskiego jedwabiu, a także rulon białej gazy, która jak powiedział, była resztką.

— W kilku miejscach ma drobną skazę — wyjaśnił. — W sukni nie będzie tego widać.

Sprzedam materiał za pół ceny!

Tilia podziękowała kramarzowi i zaniósła materiały do wiejskiej krawcowej. Dała na wzór obrazek, który wycięła z eleganckiego pisma dla pań. Pani Saunders doskonale wywiązała się z zadania. Tilia mogłaby uszyć suknię sama, ale nie znalazła na to czasu, gdyż nieustannie potrzebna była Roby'emu. Brat nie zawsze ufał swojemu gustowi, gdy chodziło na przykład o kolor ścian, materiał na zasłony czy ustawienie mebli. Wiele rzeczy z domu zostało sprzedanych, także czasem musieli zaczynać urządzenie jakiegoś wnętrza od podstaw. W mieście, dokąd pojechali razem, znaleźli sporo odpowiednich sprzętów

i to — jak uznała Tilia — za całkiem rozsądną cenę.

— Pan Wickham powinien być nam wdzięczny, że robimy oszczędności! — stwierdziła z dumą.

Roby obrzucił ją dziwnym spojrzeniem. Ponieważ znała go dobrze, zapytała:

— Czyżby Patrick brał od niego więcej, niż my wydajemy?

— Oczywiście. Musi w końcu coś z tego mieć. Tilia westchnęła.

— Nie miałam pojęcia, że na meblach też zarabia!

— Uważa, że ma prawo zarabiać na wszystkim — stwierdził Roby. — Tak, „wszystko” to w tym wypadku właściwe słowo. W końcu to on załatwił umowę i zorganizował dzierżawę.

— Prawda! Jednakże wydaje mi się to nieco skomplikowanym sposobem na życie.

— Nikt nie wie o tym lepiej niż ja — powiedział Roby. — Ale gdy trzeba wybierać między byciem bogatym a byciem biednym, sto razy bardziej wolę być bogaty!

— To zrozumiałe! — uśmiechnęła się Tilia. — Z tym że pewnych rzeczy dżentelmen nie robi.

— Och, to zależy. Zwłaszcza w przypadku dżentelmena o pustych kieszeniach i kosztow-

nych upodobaniach — stwierdził Roby bez ogródek.

Zapadła cisza. Przerwało ją pytanie Tili:

— Czy ty... też tak postępujesz? Odpowiedział jej nieco szorstko:

— Oczywiście! Jeżeli ktoś prosi mnie o pomoc przy kupnie koni, spodziewam się, że zapłaci za moją wiedzę i doświadczenie. Dużo łatwiej doliczyć trochę do ceny konia, niż prosić o pieniądze.

— Chyba... rozumiem — powiedziała Tilia, tonem, w którym brzmiało powątpiewanie. Pomyślała przy tym, że Roby, nim poznał Patricka O'Kelly'ego, nigdy się tak nie zachowywał.

Doznawała czasem przerażającego uczucia, że mimo woli oboje pogrążają się coraz bardziej. Jedna decyzja pociągała za sobą następną. Gdyby mama żyła, wszystko wyglądałoby inaczej! Za jej życia świat wydawał się miejscem cudownie prostym, gdzie co dzień świeci słońce.

— Zadaję za dużo pytań — powiedziała Tilia do siebie.

Z lękiem myślała o przyszłości.

### 3

Znalazłszy się w szkolnym pokoju, Tilia podeszła do okna i wyjrzała na park. Jak wszyscy mieszkańcy wielkiego domu pełna była obaw i niepokoju, gdyż dziś właśnie spodziewano się przyjazdu pana Wickhama. Na szczęście Amerykanin spędził pełne dwa tygodnie w Londynie, nim zdecydował się wyruszyć do Staverly. Roby osobiście miał przywieźć milionera do pałacu. Gdy wyjeżdżał, Tilia pożegnała brata słowami:

— Zatrzymaj go w Londynie, jak długo się da.

— Szczerze wątpię, czy będę miał jakikolwiek wpływ na decyzje jego wszechmocności!  
— odparł Roby.

Tilia w duchu przyznała, że to żartobliwe określenie jest niezwykle trafne. Podczas prac nad przywróceniem domowi dawnej świetności z każdym dniem odczuwała coraz większą niechęć do Amerykanina. Nie mogła jednak nie cieszyć się, widząc, że pałac przeobraża się i staje



się równie piękny jak w czasach ich dzieciństwa. Jednocześnie irytowało ją, że Roby zajmuje się urządzaniem domu nie dla siebie, ale dla kogoś obcego. Była niemal pewna, że pan Wickham będzie gburowaty i nadęty. Czemu tak bardzo zależało mu na tym co angielskie, co ma tradycję i historię?

Rozpanoszy się tu jak u siebie — oburzała się w duchu. — Będzie porównywał Staverly ze swoim ranczem w Teksasie!

Gdy jednak zobaczyła aksamity i satyny w oknach oraz nowe dywany nadesłane przez Patricka z Londynu, nastrój się jej odmienił. Teraz chciało się jej śpiewać z radości. Staverly stało się piękne! Staverly było imponujące! Sta-verly robiło wrażenie jak za życia dziadka!

Dziadek wydał fortunę na pałac, ale to wszystko było niczym w porównaniu z kosztami ponoszonymi przez pana Wickhama. Na początku Roby często wahał się, gdy miał kupić rzecz drogą. Kiedy Tilia wytknęła mu to, popadł w drugą skrajność i wydawał pieniądze bez chwili wahania. Wspólne nabytki brata i siostry doskonale prezentowały się w pokojach zdobnych malowidłami i złoceniami wykonanymi przez wybitnych artystów. W końcu nadeszła nieunikniona chwila, której Tilia bała się tak bardzo. Trzy dni wcześniej

otrzymała list od Roby'ego. Brat donosił, że wraz z Patrickiem przywiozą pana Wickhama i jego córkę w najbliższą środę. Tilia przez dłuższą chwilę patrzyła nieruchomym wzrokiem na dobrze znane pismo, jakby nie mogła uwierzyć w wiadomość, której prędzej czy później należało się spodziewać. W głębi serca cały czas żywiła nieśmiałą nadzieję, że w ostatniej chwili pan Wickham rozmyśli się i wróci do Ameryki. Taki obrót spraw był wprawdzie mało prawdopodobny, ale możliwy. Wyobraźnia dziewczyny podsuwała różne przyczyny nagłego wyjazdu milionera. Może zapali się szyb naftowy? Może wydarzy się katastrofa kolejowa? W takiej sytuacji musiałby wracać, większość kolei bowiem należała do niego.

Nim do Staverly przybyli nowi służący, przeprowadziła się z Coblinami do dworku, zabierając oczywiście ukochanego Kingfishera. Nowe lokum urządziła meblami pochodzącymi z pałacu. Z rodzinnego domu wzięła też stare zasłony, które na jej prośbę jeden z robotników pracujących przy remoncie przyciął odpowiednio, dostosowując do rozmiarów mniejszych okien; zrobił też nowe karnisze. Wnętrze dworku wyglądało teraz miło i przytulnie.

Ze smutkiem myślała o tym, że będzie musiała opuścić zaciszne gniazdko i podjąć stałe

obowiązki w Staverly. Najtrudniej było wytłumaczyć Coblinom, że mają nie wspominać o jej istnieniu nikomu z nowej służby. Skierowaną do nich przemowę Tilia zakończyła w sposób następujący:

— Zarobię tyle, że będziemy mogli żyć spokojnie i dostatnio. Dzięki sir Robertowi, który załatwił mi posadę guwernantki u nowego dzierżawcy, skończą się kłopoty z utrzymaniem.

— Czy to oznacza, panno Otylio, że panienka nie będzie z nami mieszkać? — spytała żona Coblina z niedowierzaniem.

— Tylko kiedy pan Wickham będzie przebywać w Anglii — odparła Tilia. — A ponieważ ma kilka domów w Ameryce, nie sędzę, by zabawił tu długo.

To chwilowo uspokoiło staruszków, choć mruzcili pod nosem, że nie wyobrażają sobie życia bez panienki. Tego samego ranka Tilia opuściła dworek. Przy pożegnaniu z wiernymi Coblinami powtórzyła kilkakrotnie, że odtąd pod żadnym pozorem nie wolno im wymieniać jej imienia.

— Ludzie w wiosce będą się dziwić, że panienka pracuje w pałacu! — zauważył Coblin.

— Nikt się o tym nie dowie — odparła Tilia. — Mam zamiar zmienić nazwisko.

Coblinowie spojrzeli na nią ze zdumieniem.

— Panienska zmieni nazwisko? Jakże to?

— Sir Robert uznał, że byłoby to dla niego krępujące, gdyby dzierżawca wiedział, że jestem jego siostrą.

Przez chwilę oboje rozważali tę niezwykłą nowinę. Wreszcie odezwała się pani Coblin:

— Może to i racja. W końcu dzięki temu Amerykaninowi panienska urządziła wszystko w pałacu jak się należy.

Tilia pomyślała z rozbawieniem, że „jak się należy” to trochę skromne określenie zmian, jakie zaszły w Staverly. Ale najważniejsze, że Coblinowie obiecali dochować sekretu.

Do pałacu miała się udać powozem wynajętym przez Roby'ego w St. Albans. Gdy zajechał pod drzwi, była spakowana i gotowa do drogi. Wyglądała dokładnie tak, jak wedle powszechnie panującego wyobrażenia powinna prezentować się angielska guwernantka.

Musiała stosować wszelkie środki ostrożności, by nie zdradzić, kim jest naprawdę.

Dojechawszy do Staverly, sama zapłaciła woźnicy i odprawiła go. Dzięki temu nie miał okazji do rozmowy z kamerdynerem, który otworzył drzwi.

— Uprzedzono mnie, że pani przyjedzie, panno Stevens — powitał ją uprzejmie. — Mam nadzieję, że miała pani dobrą podróż.

— Tak, dziękuję — odparła Tilia.

Lokaj zaprowadził ją na piętro, którego wnętrza tak pięknie osobiście umeblowała. Idąc za nim pomyślała po raz kolejny, że nie podoba się jej nazwisko Stevens, które wybrał Patrick.

— Dlaczego akurat Stevens? — zapytała go kiedyś szorstko. — To takie okropne nazwisko!

— Wiele przemawia za nim — odrzekł Patrick. — Przede wszystkim nie zmienia się inicjały, a nie byłem pewien, czy nie będziesz ich miała na swoich bagażach czy innych rzeczach.

— Nie, nie oznaczyłam swoich rzeczy inicjałami — odparła Tilia. — Naprawdę wolałabym nazywać się jakoś ciekawiej.

— Już za późno — stwierdził Patrick. — Napisałem do przyjaciela w Ameryce, prosząc, by przekazał Clintowi Wickhamowi wiadomość, że znalazłem odpowiednią guwernantkę dla jego córki. Podałem nazwisko Stevens.

Tilia pomyślała z urazą, że mógł ją przedtem spytać o zdanie. Nim zdążyła otworzyć usta, zauważyła, że Roby zmarszczył brwi. Widocznie wolał, żeby zgadzała się na wszystko bez protestów. No tak, jeśli córka wszechmocnego pana Wickhama jest równie wymagająca jak tatuś, to zadanie będzie niełatwe!

Teraz wyglądając przez okno pokoju szkolnego, skąd doskonale widać było drogę ciągnącą się w dal pod dębami, czekała na powozy wiozące

towarzystwo z Londynu. Wyobrażała sobie pana Wickhama jako starszego człowieka. Nie wierzyła w te wszystkie opowiadane przez Roby'ego historie, że Amerykanin był bajecznie zdolny i dzięki temu tak szybko zrobił karierę. Przecież nie można zbić majątku nie będąc starym i doświadczonym! Żaden normalny młody człowiek — myślała pogardliwie — nie żeniłby się tylko ze względu na tytuł i drzewo genealogiczne przyszłej żony. Sam pomysł założenia własnej dynastii wydał się jej śmieszny i niedorzeczny. W końcu postanowiła odłożyć te rozważania na później i rozpakować rzeczy. Musi być gotowa na przyjazd swojej wychowanki i natychmiast podjąć obowiązki.

Duży szkolny pokój wybrała dla Roby'ego i dla niej matka. Mogli w nim bawić się i hałasować do woli, nie przeszkadzając nikomu. Z pokoju tego wchodziło się do dwóch innych, jeden był jej sypialnią, w drugim spała bona. Pokój Roby'ego znajdował się po drugiej stronie korytarza. U Roby'ego słońce gościło po południu, podczas gdy pokój dziecinny oświetlony był najlepiej w porze śniadania.

W pierwszym odruchu Tilia chciała urządzić sypialnię dla siebie w swoim dawnym pokoju. Po namyśle doszła jednak do wniosku, że przyjemniejszy będzie pokój z widokiem na ogród,

zwłaszcza teraz, gdy otoczenie pałacu zmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Roby zatrudnił ośmiu ogrodników. Włożyli wiele wysiłku, żeby ogród prezentował się jak najokazalej. Wyrównane trawniki przypominały zielony aksamit. Klomby i rabaty mieniły się wszystkimi kolorami. Mimo obiekcji Roby'ego zainstalowano fontannę, która wyrzucała w niebo strumień wody. Lecz najbardziej zachwycaly Tilię ogromne, pełne uroku cisowe żywopłoty. Zostały starannie przystrzyżone w różne kształty i znów mogły zasłynać na całą okolicę jako ciekawostka. Stwarzały nastrój tajemniczości, który Tilia tak uwielbiała jako mała dziewczynka. Z okna pokoju widać też było na drugim końcu ogrodu strumyczek, który kaskadą wpadał do sporej sadzawki u stóp wzgórza. Skalny ogród przy kaskadzie pełen był egzotycznych roślin, które teraz znajdowały się w pełnym rozkwicie. Opuściła wreszcie szkolny pokój. Ku wielkiemu zdumieniu zastała u siebie pokojówkę, która rozpakowywała jej bagaże i wieszała suknie w szafie.

— Och, dziękuję za pomoc! — wykrzyknęła Tilia. — Jak to miło z twojej strony !

— Gospodyni powiedziała, że mam pani usługiwać — dygnęła dziewczyna. — A także panience, jak już przyjedzie.

— Jak ci na imię? — spytała Tilia.

— Emily, proszę pani. Bardzo się cieszę, że tu jestem.

Mówiła z takim entuzjazmem, że Tilia się uśmiechnęła.

— Mam nadzieję, że obu nam będzie tu dobrze.

— Nigdy jeszcze nie widziałam Amerykanina — wyznała Emily. — Nie mogę się go wprost doczekać. Czy we włosach będzie mieć pióra? I czy będzie tańczyć dziwne tańce? Wiem o tym ze szkoły.

Tilia roześmiała się.

— Tak robią Indianie, pierwsi mieszkańcy Ameryki. Pan Wickham będzie przypominał angielskiego dżentelmena.

Emily była tym wyraźnie rozczarowana.

— A tak chciałam zobaczyć pióra!

To jeszcze bardziej rozbawiło Tilię, ale żeby nie urazić uczuć pokojówki, nie dała tego poznać po sobie. Nie bez smutku pomyślała, że pan Wickham może okazać się znacznie gorszy niż wódz Indian. Nie mogła jednak powiedzieć tego na głos.

Emily wyjmowała ostatnie rzeczy z podróżnego kufra. W sumie Tilia miała ich całkiem sporo. Kiedy okazało się, że ma dla siebie więcej czasu niż pierwotnie przypuszczała, zamówiła



jeszcze suknie do noszenia na co dzień. Krawcowa przygotowała też dwie skromne, ale eleganckie na wieczór.

Było mało prawdopodobne, by ktoś miał je oglądać. Guwernantki na ogół jadają kolacje samotnie w szkolnym pokoju. Matka nie byłaby jednak zadowolona, gdyby Tilia zaniedbała przebierania się do kolacji. Zawsze tak robiła, kiedy żyli rodzice. Teraz w dodatku mogła się wykapać we wspaniałej łazience, którą Roby kazał zainstalować w pobliżu pokoju szkolnego. Pierwotnie mieściła się tam niewielka sypialnia pokojówki zajmującej się dziećmi. Po remoncie pokój zmienił się nie do poznania. Stała w nim duża wanna, ściany pokrywała piękna tapeta. Tilia zdziwiła się mocno, zobaczywszy na podłodze dywan.

— Dywan w łazience? — spytała niedowierzająco Roby'ego. — Przecież się zmoczy!

— Patrick mówił, że u Vanderbildtów i innych bogatych amerykańskich rodzin w łazienkach są dywany. Był więc przekonany, że tego będzie oczekiwał pan Wickham.

Dywan leżał nie tylko w łazience przy pokoju dzieciennym; w całym domu były dywany.

Tilia żałowała, że ojciec nie może tego widzieć. Na pewno byłby zachwycony.

Podziwiając wszystkie te wspaniałości, Tilia modliła się w duchu, by pan Wickham jak naj-

szybciej wrócił do Ameryki, a wtedy ona i Roby mogliby zamieszkać w Staverly. Nie myślała o tym, skąd wezmą pieniądze, by pałac nie znalazł się na powrót w opłakanym stanie, w jakim był jeszcze dwa miesiące temu.

Proszę... Boże... proszę... — modliła się, chodząc po odnowionych pokojach i żywiąc cichą nadzieję, że Bóg nie poczyta jej tego za zachłanność. Czasem jednak wydawało się jej, że prosi o zbyt wiele. Jakże mogliby tu mieszkać, nie mając pieniędzy nawet na sprzątanie? I przecież jeszcze nie tak dawno zdarzało się, że nie wiedziała, za co kupić jedzenie na następny posiłek.

Wtedy zupełnie niespodziewanie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, Patrick O'Kelly nie tylko wyczarował jednego z najbogatszych ludzi w Ameryce, ale i sprawił, że krezus ów miał zostać ich dzierżawcą. Jestem wdzięczna losowi... taka jestem wdzięczna...! — powtarzała sobie bezustannie. Starła się nie myśleć o przyszłości, tylko cieszyć się chwilą obecną.

Rozpakowywanie zostało zakończone. Emily wyszła, zapowiadając, że o czwartej przyniesie podwieczorek.

— Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, proszę mi powiedzieć, a ja przekażę pani Danver.

— Czy pani Danver to gospodyni? — spytała Tilia.

Znała doskonale odpowiedź, ale sądziła, że lepiej będzie udawać niewiedzę.

— Tak, proszę pani. Jest bardzo miła.

Tilia uśmiechnęła się. Dla Emily najwyraźniej wszystko było nowe i zachwycające. Przez myśl by jej nie przeszło krytykowanie czegokolwiek. Tilia była nawet zadowolona, że usługiwać jej będzie młoda, pogodnie do życia nastawiona osóbką.

Po wyjściu Emily czas jakiś spoglądała na ogród, a potem wróciła do pokoju szkolnego. Przez okno dojrzała w dali zbliżający się powóz. Za nim jechało kilka następnych oraz dwaj jeźdźcy na koniach. Clint Wickham przybywał w wielkopańskim stylu. Wkrótce pierwszy powóz przejechał przez most na jeziorze i znalazł się na dziedzińcu przed pałacem.

Tilia domyślała się, że kamienne schody pokryte są w tej chwili czerwonym dywanem, co najmniej czterech z sześciu lokai zastygło nieruchomo na dole, a w drzwiach czeka na nowego pana kamerdyner z dwoma pozostałymi lokajami. Było to doskonale wyreżyserowane widowisko i należało żywić nadzieję, że Amerykanin je doceni.

Kiedy przejechali most, Roby wyjrzał przez okno. Dostrzegł najpierw gładkie zielone trawniki, a potem kontrastujący z nimi purpurowy dywan na schodach. Odwrócił się do siedzącego obok Clinta Wickhama.

— Wydałem rozkazy, by służba oczekiwała nas w hallu. W ten sposób przedstawię ich panu.

— Doskonale — odparł Clint Wickham. — Patrick zapewnił mnie, że starannie dobrał służbę. Wszyscy podobno pracowali przedtem w najlepszych angielskich domach. Mówił niemal jak rodowici Anglicy. Czasem tylko zdarzało mu się wtrącić pojedyncze słowo z amerykańskim akcentem. Siedzący naprzeciwko milionera Patrick uśmiechnął się.

— Dołożyłem wszelkich starań, by zatrudnić najlepszych ludzi. W Anglii bardzo liczy się dobra służba.

— Tak, słyszałem o tym — odparł sucho Clint Wickham.

Zaprzeżony w czwórkę koni powóz zatrzymał się wreszcie.

Drzwiczki otworzył lokaj w peruce odziany we wspaniałą liberię Staverly'ów. Pan Wickham wysiadł pierwszy. Lokaj skłonił się głęboko. Roby i Patrick ruszyli za panem Wickhamem. Na szczycie kamiennych schodów czekał na nich kamerdyner Burton.

— Dobry wieczór, sir! — zwrócił się do Clinta Wickhama. — Niech mi wolno będzie w imieniu całej służby powitać pana w Staverly.

— Dziękuję! — skinął głową Clint Wickham.

Ponieważ to Patrick zatrudniał służbę, on właśnie przedstawił Burtona, sześciu lokai i panią Danver stojącą na czele armii pokojówek. Potem zaprezentowany został kucharz, któremu towarzyszył okazały orszak kuchcików i po-mywaczek. Na koniec zaszczytu dostąpił pan Trent, sekretarz i administrator, który zarządzał domem oraz posiadłością w imieniu pana Wickhama. W tym jednym przypadku Patrick zgodził się, by kandydata na to stanowisko wybrał Roby.

— Wy tłumacz mu, że ma się zajmować farmami i pilnować, by ogrodnicy dobrze wykonywali swoją pracę — poinstruował przyjaciela. — I daj mu wyraźnie do zrozumienia, że wszystkie rachunki mają przechodzić przez moje ręce. Niech nie odsyła ich do Wickhama. Roby doskonale wiedział, co to oznacza. W obecności pana Wickhama administrator miał nie poruszać spraw finansowych.

Powitanie nowego pana trwało dalej. Wickham podał rękę kamerdynerowi, gospodyni, kucharzowi i sekretarzowi, po czym skinął głową

pozostałym. Następnie Roby oprowadził go po wielkich pokojach na parterze. Duże wrażenie na wszystkich zrobił zalany słońcem salon, gdzie na każdym stole stał piękny bukiet kwiatów. Fontanna, która przysporzyła tyle kłopotu Roby'emu, prezentowała się w pełnej krasie.

Clint Wickham nie wyrzekł ani słowa.

Przeszli do gabinetu, który został urządzony od podstaw. Stare fotele pokryte czerwoną skórą nie nadawały się do reperacji, trzeba je było zastąpić nowymi. Kilka obrazów należących do sir Osmunda, nie zastrzeżonych w testamencie dziadka, dawno zmieniło właścicieli. Za radą Patricka Roby kupił w domu aukcyjnym Sotheby's inne obrazy. Nad kominkiem wisiał wyjątkowej urody Stubbs, doskonale pasujący do gabinetu pana domu. Roby miał cichą nadzieję, że kiedy Wickham się wyprowadzi, nie zabierze obrazu ze sobą. — Był to ulubiony pokój mego ojca — wyjaśnił Amerykaninowi, który rozglądał się dokoła. — Przekona się pan, że jest bardzo wygodny i zaciszny. Doskonałe miejsce, do którego dyskretnie można uciec od gości.

— Czy pana zdaniem będzie tu bywać wiele osób? — spytał Clint Wickham.

— Sąsiedzi zjawiają się powodowani choćby zwykłą ciekawością. Nie mogą się pana docze-

kać — odparł Patrick, nim Roby zdążył otworzyć usta. — A podczas przyjęcia zdarza się nieraz, że człowiek marzy o chwili spokoju.

Clint Wickham nie odpowiedział.

Przeszli do pokoju karcianego, następnie do bilardowego i do małego gabinetu. Kolejnym pomieszczeniem była wspaniała biblioteka z nowymi czerwonymi, aksamitnymi portierami i wyjątkowo pięknymi perskimi dywanami. W przeszklonych szafach stało wiele na nowo oprawionych starych cennych foliałów.

— Słyszałem, Staverly — zaczął Clint Wickham — że ma pan pierwsze wydania Szekspira i parę innych białych kruków.

— To prawda — odparł Roby. — Znajdzie je pan w katalogu bibliotecznym, z wyjątkiem może najnowszych nabytków, które nie zostały jeszcze wpisane.

— Bardzo chciałbym przejrzeć ten katalog — powiedział Clint Wickham.

Roby podał mu wielką księgę, którą Wickham zabrał ze sobą, gdy przechodzili do błękitnego salonu. Clint Wickham cały czas rozglądał się uważnie, ale prawie się nie odzywał. Wrócili do wielkiego salonu, gdzie czekał na nich podwieczorek. Milioner spojrział na zegarek.

— Mary-Lee powinna już być — stwierdził.

— Powiedział pan: wpół do piątej — odparł szybko Patrick, jakby Clint Wickham znalazł jakieś niedopatrzenie.

— No tak, oczywiście — odrzekł Amerykanin. — Po prostu boję się, czy nie zabłądzi—  
Może pan być spokojny, stangret nie zawiedzie — odparł Patrick. — Pańska córka byłaby przecież niepokieszona, gdyby straciła lunch wydany specjalnie na jej cześć.

— Tak, ma się rozumieć — zgodził się Clint Wickham. — To niezwykle uprzejme ze strony księżnej. Ale mimo wszystko wolałbym, żeby Mary-Lee przyjechała tu ze mną. Na ustach Roby'ego słuchającego tej wymiany zdań pojawił się lekko kpiący uśmiezek. Wiedział, ile zachodu kosztowało Patricka załatwienie tego, by księżna Westminsteru wydała obiad dla Mary-Lee. Najmłodsza córka księżnej była w wieku małej Amerykanki. Nie trzeba dodawać, że księżna miała też drugą córkę, osiemnastoletnią. Clint Wickham został przedstawiony lady Letycji zaraz po przyjeździe do Londynu. Patrick liczył na to, że młoda dama nie wypuści milionera ze swych ślicznych rączek. Oszczędziłoby mu to wiele zachodu, gdyż wówczas nie musiałby aranżować spotkań z innymi pannami na wydaniu.



Lady Letycja była prawdziwą pięknoscią, ale Amerykanin, nie wiedziąc czemu, nie zachwyił się nią. Księżna postanowiła za wszelką cenę doprowadzić do mariażu i zajęła się organizowaniem rozrywek dla Mary-Lee. Wydano specjalne przyjęcie, na które zaproszone zostały dzieci w jej wieku. Ponieważ Mary-Lee wyjeżdżała na wieś, zabawy i gry miały odbyć się przed obiadem. W programie zapowiedziano przedstawienie „Punch i Judy” oraz występy czarodzieja. Wszystkie dzieci znalazły przy swoich nakryciach kosztowne prezenty. Roby pomyślał, że za tyle starań Patrick otrzymał dość chłodne podziękowanie.

— Sprawdź, czy nie nadjechali — powiedział Patrick i wyszedł z salonu.

— Ma pan piękny dom — zwrócił się Clint Wickham do Roby'ego, kiedy zostali sami.

— Jestem panu niezmiernie wdzięczny za jego odrestaurowanie. Teraz wygląda jak wtedy, gdy go zbudowano — odparł Roby.

Uśmiechnął się i dodał:

— Oczywiście z wyjątkiem dziesięciu łazienek, co zapewne nie mieściłoby się w głowie memu szanownemu dziadkowi!

— Tylko dziesięć? — spytał Clint Wickham. — Obawiam się, że trzeba ich będzie znacznie więcej!

— Och, zawsze można urządzić jeszcze kilka w późniejszym terminie — pośpiesznie wyjaśnił Roby. — Zapewniam pana, że i tak czyniliśmy heroiczne wysiłki, by zdążyć z robotami na czas.

— Jutro pokaże mi pan posiadłość — rzucił obojętnie Clint Wickham, jakby w ogóle nie słuchał tego, co mówił Roby.

— Jestem do pańskich usług. Przyszło mi też do głowy, że może chciałby pan tu zbudować niewielki tor wyścigowy.

Przerwał na chwilę, a ponieważ Clint Wickham milczał, odezwał się znowu:

— Widziałem pańskie zainteresowanie, kiedy wczoraj lord Burnham mówił na ten temat. Jest takie dość płaskie miejsce za wybiegiem. Pańskie konie z pewnością by to doceniły.

— Patrick mówił, że kupił pan dla mnie kilka koni czystej krwi — powiedział Clint Wickham. — Bardzo chciałbym je obejrzeć.

— Uważam, że są doskonałe! — odparł z dumą Roby. — Ale może za bardzo się chwale. Potem, jakby nagle sobie coś przypominając, dodał:

— Aha, przy okazji chciałem pana poinformować, że guwernantka, którą z Patrickiem zatrudniliśmy dla pańskiej córki, bardzo dobrze

jeździ. Zapewne będzie pan zadowolony, że może towarzyszyć panie Mary-Lee na przejażdżkach.

Clint Wickham nie odpowiedział, gdyż otworzyły się drzwi i rozległ się głos Patricka:

— Już są!

Clint Wickham zdążył zrobić kilka kroków w kierunku drzwi, kiedy mała dziewczynka wpadła do pokoju.

— Tatusiu! Tatusiu! — zawołała. — Już jestem!

Wyciągnęła ręce, a Clint Wickham porwał ją w objęcia i uniósł do góry.

— Bałem się, kochanie, czy nie zabłądziliście — powiedział.

— Jechaliśmy bardzo, bardzo szybko!

— Podobało ci się przyjęcie?

— Niezbyt — odparła szczerze Mary-Lee. — Dzieci nie chciały się bawić, a czarodziej był dużo gorszy niż w Nowym Jorku!

Clint Wickham zaśmiał się.

— Jesteś mała, więc nie wypada ci tak krytykować!

Postawił Mary-Lee na ziemi, a ona spojrzała na niego, przechylając główkę na bok.

— Co to znaczy „rytykować”? — spytała.

— Mówić, że ktoś robi coś źle — odpowiedział z uśmiechem ojciec.

— Powiedziałam: „Dziękuję bardzo”, tak jak mi tatuś kazał.

— Bardzo jesteś grzeczna! A teraz chodź, zjesz podwieczorek, najprawdziwszy angielski podwieczorek! Wiesz, co my tu mamy? Ciasto z lukrem i gorące bułeczki!

— Gorące bułeczki? — zainteresowała się Mary-Lee. — Jakie?

— Specjalne, szkockie — wyjaśnił Roby, zanim Clint Wickham zdążył odpowiedzieć. — Widzę, że twój tatuś uczy cię właściwych rzeczy!

Mary-Lee nie słuchała. Ściągnęła kapelusik i rzuciła na krzesło, a potem przyjrzała się przysmakom ustawionym na stoliku stojącym przed sofą. W tym momencie do pokoju wszedł Patrick.

— Mary-Lee odwiozła pokojówka księżnej Westminsteru. Zarządziłem, żeby zjadła podwieczorek z gospodynią. Potem wróci do Londynu.

Clint Wickham spojrzał na córkę.

— Czy podziękowałaś pani, która cię tu przywiozła, kochanie? — spytał.

— Niezupełnie — przyznała Mary-Lee. — Była bardzo nudna i nie opowiadała mi żadnych historii o miejscach, przez które przejeżdżałyśmy. Nie tak jak ty, tatusiu.

— Nie każdy, kogo poznasz, ma obowiązek opowiadać historie, kochanie! — zażartował łagodnie Clint Wickham.

— A już na pewno nie w Anglii — zauważył Patrick. — Anglicy są pozbawieni wyobraźni.

Uśmiechnął się i dodał kpiąco:

— W przeciwieństwie do Irlandczyków!

— Którzy mówią za dużo — wtrącił Roby. — Na szczęście panna Mary-Lee wygląda na rozsądną osobkę, a tata zapewne ją pouczy, by nie słuchała opowieści złotoustych bazarzy! Patrick i Clint Wickham zaśmiali się. Mary-Lee nie zwracała na nich uwagi. Zajadała czekoladowe ciasteczka i ciasto z lukrem, odmówiwszy spróbowania bułeczek. Gdy podwieczorek dobiegł końca, Clint Wickham zwrócił się do córki:

— Myślę, młoda damo, że nadeszła pora, żeby pójść na górę i przywitać się z guwernantką. Zobaczymy przy okazji, czy twój pokój jest wygodny.

Rzucił okiem w stronę Roby'ego i dodał:

— Wychowano mnie w przeświadczeniu, że angielskie dzieci są zamykane na strychu, żeby ich nie było widać ani słychać!

— Nie jest to prawda, jeśli chodzi o moje dzieciństwo — odparł Roby. — Zresztą proszę, niech pan sam się przekona.

Ruszyli na górę szerokimi schodami. Mary-Lee trzymała ojca za rękę i bez przerwy szczebiotała, opowiadając cienkim głosem o podróży z Londynu.

— Na łąkach było mnóstwo malutkich owieczek, ale jechaliśmy tak szybko, że nie mogłam się im dobrze przyjrzeć!

— Tu też jest mnóstwo owieczek — uśmiechnął się do niej Roby.

Pieniądze, które wypłacił farmerom, umożliwiły im dokupienie nowego inwentarza. Byli za to niezwykle wdzięczni.

Kiedy całe towarzystwo znalazło się pod drzwiami pokoju szkolnego, Roby wyraził w duchu życzenie, by Tilia czekała tam na nich. I nie zawiódł się.

Stała na środku pokoju. Pomyślał z zadowoleniem, że idealnie pasuje do swojej roli. Miała na sobie skromną granatową suknię z białym kołnierzykiem i białymi mankietami. Chciała wyglądać jak najpoważniej. Prosta suknia uwydatniała jej drobną twarzyczkę, a ogromne niebieskie oczy przywodziły na myśl nie letnie niebo, lecz raczej wzburzone morze. Złote jak wschodzące słońce włosy upięła starannie z tyłu, ale kilka małych niesfornych loczków wymknęło się szpilkom i teraz okalały białe czoło.

Zobaczywszy Clinta Wickhama, znieruchomiała. On też był zaskoczony. Stojąca przed nim młoda kobieta w ogóle nie pasowała do wyobrażenia o angielskiej guwernantce, jakie ukształtował sobie na podstawie zasłyszanych opowieści. Oczekiwał osoby w średnim wieku, bezbarwnej niepozornej starej panny, tymczasem miał przed sobą młodą dziewczynę, bardzo ładną, a nawet piękną. Patrzyła na niego z wyrazem zaskoczenia w oczach, które dodawało jej uroku. Amerykanin nie mógł się oprzeć wrażeniu, że młodziutka nauczycielka jest nie tylko zaskoczona — ona odczuwała lęk.

Clint Wickham był wyjątkowo spostrzegawczy. W trudnej szkole życia nauczył się, że nie należy osądzać ludzi według tego, co mówią. Szczycił się, że potrafi trafnie oceniać charaktery mężczyzn i kobiet. Nie dawał się zwieść powierzchowności, masce, jaką ludzie na ogół pokazywali światu. Kiedy z oczami utkwionymi w Tili postąpił naprzód, dobiegł go głos Roby'ego:

— To jest panna Stevens. Ręczę, że zapewni pańskiej córce najlepsze angielskie wychowanie i nauczy ją korzystać z uroków angielskiej wsi.

— Tego właśnie od niej oczekuję — powiedział Clint Wickham i wyciągnął rękę. Kiedy ich dłonie spotkały się, Tilia poczuła silny prąd przenikający skórę. Nigdy nie dozna-

ła podobnego wrażenia w obecności mężczyzny.

Był bardzo przystojny, czego się absolutnie nie spodziewała i jak na typowego Teksasńczyka przystało, dużo wyższy od Roby'ego i Patricka. Niemal o głowę przerastał wszystkich obecnych i samą posturą wzbudzał respekt. Teraz zrozumiała, dlaczego Patrick zawsze mówił o nim z szacunkiem. Nic dziwnego, że doskonale radził sobie z interesami w Ameryce, mimo że był stosunkowo młody.

— To moja córka Mary-Lee — przedstawił dziewczynkę Clint Wickham, puszcżając rękę Tili, która przywitała się z małą.

— Tatuś mówi, że nauczy mnie pani, jak być Angielką, ale ja jestem Amerykanką i nie chcę być nikim innym!

— Masz słuszność, kochanie — powiedziała Tilia. — Jesteś dumna ze swojego kraju, tak jak ja jestem dumna z mojego, więc musimy przekonać się, czyj kraj jest lepszy.

Mary-Lee zaśmiała się.

— Czy o tym będzie na lekcji?

— Zrobimy listę zalet obu krajów — zaproponowała Tilia. — Potem pokażemy ją twemu ojcu, a on rozstrzygnie, kto wygra.

— I da nam nagrody! — dodała Mary-Lee. — To świetny pomysł! — Rozejrzała się po po-



koju szkolnym. — Jaki to ładny pokój, tatusiu! Bardzo mi się podobają te różowe zasłony i taka wielka wygodna sofa!

— Jeden punkt dla Anglii! — stwierdził z rozbawieniem Clint Wickham.

— Ale nie jest tak duży jak mój pokój w Ameryce! — dodała Mary-Lee szybko.

— W takim razie punkt dla Ameryki — zawyrokowała Tilia.

Dziewczynka wydała okrzyk radości.

— Podoba mi się ta zabawa! — oznajmiła. Wymyślę mnóstwo różnych rzeczy, a tatuś da mi nagrodę!

— Najpierw musisz wygrać — powiedział Clint Wickham.

Spojrzał na Tilię. Nie miała pojęcia, że nieświadomie zdała pierwszy egzamin celująco.

— Zostawię teraz Mary-Lee z panią, panno Stevens — rzekł milioner. — Porozmawiamy później. Albo jutro.

— Tak jest. Dziękuję panu — odpowiedziała Tilia.

Przez cały czas czuła na sobie uważny wzrok Roby'ego. Kiedy Clint Wickham odwrócił się w stronę drzwi, Tilia posłała bratu ledwo zauważalny uśmiech, chcąc go uspokoić.

Miała ochotę mrugnąć do niego porozumiewawczo, ale nie zrobiła tego z uwagi na Mary-Lee. Byłaby mniej

pewna siebie, gdyby mogła słyszeć późniejszą rozmowę między Robym a Clintem Wickhamem.

— Panna Stevens jest bardzo młoda — zauważył Clint Wickham.

— Myślę, że jest starsza, niż wskazuje na to jej wygląd — powiedział szybko Roby. — To inteligentna osoba, a chyba byłoby lepiej, żeby pana mała córeczka miała młodą nauczycielkę.

— To odpowiedzialne zadanie — nie ustępował Clint Wickham. — Zależy mi na jak najlepszym wykształceniu Mary-Lee.

Roby uśmiechnął się.

— Zgadzam się z panem w pełni. Młoda panna z dobrego domu powinna zdobyć jak najlepsze wykształcenie. Tymczasem, jak zapewne panu wiadomo, w tym kraju chłopcy idą do prywatnych szkół, a ich siostry pobierają nauki u kobiet w średnim wieku, które często nie znają się na tym, co robią!

— Słyszałem o tym — powiedział Clint Wickham. — Absolutnie nie dopuściłbym do tego, aby tak się stało w przypadku Mary-Lee.

Powiedział to twardym głosem. Właśnie wtedy Roby uświadomił sobie, że te wszystkie panny, które Patrick przedstawił milionerowi, Wickham musiał uznać za nudne i głupie, bo istotnie takie były.

Kiedy Roby po raz pierwszy po śmierci ojca pojechał do Londynu i zaczęto go zapraszać na najważniejsze bale sezonu, uważał za swój obowiązek wobec gospodyni tańczenie z jej debiutującą w towarzystwie córką. Panny te nie wytrzymały porównania z pięknymi inteligentnymi kobietami, z którymi spotykał się później. Kręcąc się z niezręczną i głupiutką panienką w takt muzyki, obiecywał sobie, że nigdy nie da się złapać w małżeńskie sidła. Bardzo szybko przestał przejmować się poczuciem obowiązku i zaczął ignorować debiutantki. Przerzucił się całkowicie na fascynujące piękności, którym sam książę Walii nie mógł się oprzeć. Tilia nigdy nie słyszała o jego miłosnych podbojach, ponieważ w tym świecie obowiązywała dyskrecja. To nie Roby, ale piękna hetera, z którą był związany, dbała o to, by nie łamać zasad.

Zeszli na dół. Roby nie dbał o to, że Patrick czy Clint Wickham mogą być rozczarowani, jeśli nie powiedzie się plan ściągnięcia książęcych rodzin do Staverly. Bał się natomiast tego, że Clint Wickham może zwolnić Tilię, uznawszy, iż nie nadaje się na nauczycielkę jego córki. Byłaby to prawdziwa katastrofa, gdyby siostra okazała się nieprzydatna dla Patricka i jego tajemniczego mocodawcy. Dzierżawa mogłaby się szybko zakończyć. Roby bardzo liczył na to, że siostra go

nie zawiedzie. Musi jakoś udowodnić milionerowi, iż jest naprawdę inteligentna. Brat nie miał co do tego wątpliwości, lecz Clint Wickham nie znając jej, mógł mieć inny pogląd na tę sprawę.

Poprzedniego wieczoru Tilia nie zobaczyła się z Clintem Wickhamem. Nie posłał po nią przed kolacją, co przyjęła z ulgą. Potem dowiedziała się od służby, że jej chlebodawca zjadł kolację z Robym i Patrickiem. Zapewne nie chciał rozmawiać z nią w ich obecności. Siedziała w szkolnym pokoju do wpół do jedenastej, w końcu nie doczekawszy się wezwania, poszła się położyć.

Przed snem czytała niezwykle pasjonującą książkę, którą znalazła w szafie bibliotecznej na korytarzu. Była to prawdopodobnie własność którejś z jej dawnych guwernantek. Matka musiała włożyć ją do szafy, gdy dzieci dorosły i szkolny pokój przestał być potrzebny. Historia średniowiecznych rycerzy i ich miłosne przygody pochłonęły Tilię do tego stopnia, że niemal do północy nie mogła oderwać się od lektury.

Gdy obudziła się rano, jeszcze przez chwilę myślami przebywała w świecie dzielnych rycerzy, pięknych dziewczic i straszliwych smoków, po

czym ze zdumieniem uświadomiła sobie, że jest dopiero wpół do siódmej. Poranne słońce zalewało ogród potokami ciepłego złota. Tilia z tęsknotą pomyślała o Kingfisherze.

Wstała z łóżka, nałożyła szlafrok i przeszła do pokoju szkolnego. Ku swemu zdumieniu zastała tam Mary-Lee przy oknie.

— Ależ z ciebie ranny ptaszek! — wykrzyknęła. — Myślałam, że po podróży będziesz zmęczona i pośpisz trochę dłużej!

— Nie jestem zmęczona. Chcę pojeździć konno — odparła Mary-Lee.

Tilia przez chwilę rozważała ten pomysł.

— W takim razie chodźmy do stajni — zaproponowała. — Co byś powiedziała na małą przejażdżkę przed śniadaniem?

Mary-Lee aż podskoczyła z radości.

— Cudownie! O tak! Chodźmy! Nagle Tilia zatrzymała się w pół kroku.

— Ale czy znajdzie się jakiś kucyk dla ciebie...

Pomyślała, że Roby mógł zapomnieć o kupnie kuczka. Mary-Lee zaśmiała się.

— Na naszym ranczu jeżdżę tylko na dużych koniach. Tatuś mówi, że kucyk jest dla mnie za mały.

Było to dość zdumiewające oświadczenie jak na ośmioletnie dziecko. Tilia przypomniała sobie

zasłyszane opowieści o tym, że dzieci właściciele rancz uczą się jeździć konno niemal od kołyski, to znaczy gdy tylko opanują sztukę chodzenia.

Zadzwoiła na Emily. Pokojówka zdziwiła się bardzo, widząc je tak wcześnie na nogach.

— Miałam przynieść śniadanie o wpół do dziewiątej! — Zabrzmiało to wręcz jak wyrzut.

— Na pewno wrócimy do tego czasu — obiecała Tilia.

Kiedy Emily ubierała Mary-Lee, Tilia szybko wróciła do swego pokoju i przebrała się w strój do konnej jazdy, jedno z niewielu ubrań, jakich nie potrzebowała kupować, gdyż odziedziczyła je po matce.

Matka często jeździła na polowania z ojcem i w związku z tym zamówiła sobie strój do konnej jazdy u najlepszego krawca w Londynie. Uszyty był wedle panującej wówczas mody. Zaledwie kilka razy miała go na sobie, więc był prawie nie używany.

Kiedy Tilia dorosła na tyle, by go nosić, doszła do wniosku, że jest zbyt elegancki jak na samotne przejażdżki na starym Kingfisherze. Ponieważ i tak nikt jej nie widywał, jeździła konno w czymkolwiek. Miało to tę dodatkową zaletę, że w każdej chwili mogła dosiąść Kingfishera w ubraniu, które właśnie miała na sobie. Przeważnie siodłała konia rano, a on chodził za nią

krok w krok po ogrodzie, gdy zbierała kwiaty, gotów do jazdy.

Teraz właściwy strój do konnej jazdy był nieodzowny. Musi być odpowiednio ubrana, jak przystało na guwernantkę w bogatym domu. Wcięty żakiet znakomicie podkreślał smukłą talię. Pod spód włożyła białą muślinową bluzkę, która również kiedyś należała do matki. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że w ciągu ostatnich lat moda zmieniła się nieco, ale pocieszała się, że to nawet lepiej, jeśli guwernantka nosi się nieco staromodnie. Nie może być przecież bardziej elegancka niż damy z towarzystwa. Poza tym prezentowała się doskonale.

Przebrawszy się, Tilia wróciła do pokoju szkolnego, gdzie Mary-Lee już na nią czekała. Dziewczynka ubrana była w kosztowną, piękną i leciutką amazonkę, która — jak Tilia od razu zauważyła — zamiast spódnicy miała szerokie wygodne spodnie. Było to z pewnością praktyczne w przypadku dziecka, jednak Tilia nie mogła oprzeć się myśli, że na pewno wywołała krytykę i pełne oburzenia komentarze konserwatywnych sąsiadów. Na razie jednak postanowiła nie reagować.

Ujęła rączkę Mary-Lee i razem zbiegły wielkimi schodami. Wyszły drzwiami od strony ogrodu i ruszyły w kierunku stajni. Gdy tam

dotarły, minęła właśnie siódma. Młody stajenny niósł do stajni wiadro świeżej wody.

— Idź i wybierz sobie konia — zachęciła Tilia dziewczynkę.

Sama dokonała wyboru, kiedy konie przybyły do Staverly. Zachwycił ją gniadosz o dość dużym temperamencie, który jej zdaniem miał domieszkę krwi araba. Właśnie poleciła stajennemu osiodłać go, kiedy rozległ się dziecięcy głosik Mary-Lee:

— Już wybrałam konia, panno Stevens! Tilia ruszyła w stronę dziewczynki i ujrzała przepięknego kasztanka. Niemal na pewno wybrałby go Roby, gdyż uwielbiał kasztanki, a ten był wyjątkowo urodziwy. Widząc, jak trąca łbem Mary-Lee i jak cieszy się z jej pieszczot, uznała, że jest wystarczająco łagodny, by mogło go dosiąść dziecko.

Pięć minut później, gdy wyjeżdżały ze stajni, Tilia przekonała się, że Mary-Lee nie przesadziła ani trochę, twierdząc, iż umie jeździć. W siodle czuła się doskonale. Stajenny skrócił strzemiona, dostosowując ich długość do dziecięcych nóg.

— Jaki to śliczny koń, panno Stevens! Cudny! — wykrzyknęła Mary-Lee.

Tilia miała trochę problemów ze swoim gniadoszem. Zwierzę wszelkimi sposobami starało



się okazać niezależność, tak że początkowo trudno było wyegzekwować posłuszeństwo. Dojechały do płaskiego terenu, dość odległego od domu. Wtedy Tilia uświadomiła sobie, że nie spytała pana Wickhama, czy pozwoli brać konie z jego stajni. Starła się pocieszyć samą siebie, że mógłby się nie zgodzić, a tak przynajmniej raz odbędzie przejażdżkę na najpiękniejszym koniu, jakiego kiedykolwiek dosiadała.

Z uwagi na Mary-Lee zamierzała jeździć bardzo ostrożnie. Okazało się jednak, że nie musi się obawiać o dziewczynkę. Mary-Lee jeździła doskonale i stale galopowała daleko w przodzie, i to tak szybko, że Tilia musiała mocno popędzać swego konia, aby ją dogonić. Galopowały przez dłuższy czas wśród pól. Przez ostatnie lata Roby'ego nie było stać na ich obsiewanie.

Zjechały nieco z drogi i wtedy wyrósł przed nimi w oddali wysoki płot.

— Skaczemy, panno Stevens! — wykrzyknęła Mary-Lee.

W głosie dziewczynki brzmiał taki entuzjazm, że Tilia uznała, iż błędem byłby kategoryczny zakaz. Powiedziała więc:

— Wiesz, kochanie, dopóki nie przyzwyczaimy się do nowych koni, lepiej będzie jeździć spokojnie bez skakania.

Bojąc się, że Mary-Lee jej nie posłucha, dodała szybko:

— Zaczekaj. Pokażę ci coś, co na pewno ci się spodoba.

— Co takiego? - zainteresowała się Mary-Lee.

— Widzisz ten las, o tam? — spytała Tilia, pokazując ręką. — To las czarodziejski. Przejdziemy tamtędy.

— Czarodziejski? Jak to czarodziejski?

— Później ci wytłumaczę — obiecała Tilia. — Najpierw mi powiesz, co o nim sądzisz.

Tak jak się tego spodziewała, ciekawość dziewczynki rozpalila się do białości. Galopem puściły się w stronę lasu. To tu Tilia przyjeżdżała niemal każdego dnia na Kingfisherze. Wśród drzew wymyślała historie, które osładzały jej samotność. Kiedy wjechały do części zwanej Lasem Dzwonków, powiedziała do Mary-Lee:

— A teraz jedź za mną cichutko. Potem powiesz mi, co widziałas, co słyszałas i co czułas. Mary-Lee spojrzała na nią z zaciekawieniem.

— Czy to taka zabawa?

— Coś więcej niż zabawa. Wszystko ci później wyjaśnię. A na razie rób to, o co proszę. Ruszyła przodem, kierując konia na zarośniętą mchem ścieżkę między drzewami. Powoli pogrążyła się w swoich zwykłych marzeniach.

Towarzyszyły jej podczas długich miesięcy, kiedy Roby przebywał w Londynie, a w Staverly nie było nikogo z wyjątkiem Coblinów.

Słońce rzucało złote smugi między drzewami. Nad głową słyszała trzepot ptasich skrzydeł. W środku lasu znajdowało się głębokie jezioro, które nie wysychało nawet w najbardziej upalne lato. Nad srebrną taftą wody zwieszały się gałęzie płaczących wierzb.

Gdy dojechały do jeziora, z krzaków zerwała się pardwa, a za nią sześć piskląt. Tilia zatrzymała na chwilę konia i spojrzała w ciemną toń jeziora, które przypomniało jej legendę o wodnicach i Hylasie. Nie powiedziała jednak nic i po chwili ruszyły dalej.

Nad ścianą kwitnących krzaków, która wyrosła przed nimi, unosiły się chmary kolorowych motyli. Pszczoły zbierające słodki nektar brzęczały sennie. Jeszcze chwila i dojechały do części lasu pokrytej niezwykle pięknym niebieskim dywanem. Co roku rozkwitały tu jedyne w swoim rodzaju, prześliczne leśne dzwonki, stokroć piękniejsze niż kwiaty ogrodowe. Tilia zatrzymała konia i napawała się niezwykle pięknymi barwami, ciekawa wrażeń Mary-Lee. Znajdowały się teraz na skraju lasu. Aby wyjechać na otwartą przestrzeń, musiały przebyć w bród płytki strumień. Dopiero gdy znalazły się w pełnym

słońcu, Tilia spojrzała na dziewczynkę z ciekawością. Widząc, że już jej wolno mówić, Mary-Lee wykrzyknęła:

— Jak cudnie było w tym lesie! A między « motylami na pewno fruwały maleńkie wróżki! Tilia uśmiechnęła się.

— Też mi się zawsze tak wydawało.

— Widziałam małe kaczuszki na wodzie!

— To były pardwy — sprostowała Tilia. — A co myślisz o jeziorze?

— Czy to czarodziejskie jezioro? — spytała Mary-Lee.

— Oczywiście — uśmiechnęła się Tilia.

— Proszę mi o nim opowiedzieć, panno Stevens!

— Leśne jeziora przeważnie są czarodziejskie — zaczęła Tilia. — A to jest najbardziej niezwykle ze wszystkich.

Jechały stępą wśród pól, a Tilia snuła opowieść o Hylasie, którego wodne nimfy zwabiły do jeziora, bo chciały, żeby zamieszkał z nimi na zawsze. Mary-Lee słuchała z uwagą.

— A jak on mógł oddychać pod wodą? — dopytywała się rezolutnie.

— Nimfy nauczyły go, jak się to robi — wyjaśniła Tilia.

Przez chwilę dziewczynka jechała w milczeniu. Potem nagle odezwała się:

— Tatuś pewnie by powiedział, że Hylas się utopił.

— Cóż za pomysł! — stwierdziła Tilia z wyrzutem. — To taka piękna historia. Wierzę, że on tam nadal jest i pływa z nimfami wśród fal.

Znów zapadła cisza. Ale nie na długo.

— Tatuś mówi, że wróżek nie ma — podjęła Mary-Lee.

Tilia pomyślała z pogardą, że tego właśnie spodziewała się po amerykańskim milionerze.

— Ja wierzę we wróżki — powiedziała głośno. — A one nie pokażą się komuś, kto w nie nie wierzy.

— Więc gdybym wierzyła we wróżki, mogłabym je zobaczyć? — dopytywała się dziewczynka.

Tilia skinęła poważnie głową.

— Widzisz, nie wszystko da się zobaczyć oczami. Ale jeśli jesteś przekonana, że coś istnieje, twoje serce zawsze pomoże ci odróżnić prawdę od zmyślenia.

— Koniecznie muszę je zobaczyć — powiedziała Mary-Lee stanowczo.

— Pewne rzeczy znikają, kiedy chcesz je wziąć do ręki — powiedziała Tilia. — Czy słyszałaś o skarbie wróżek?

Mary-Lee zmarszczyła brwi.

— Chyba nie.

— Skarb wróżek można zobaczyć, ale znika, kiedy próbuje się go dotknąć.

Córka milionera najwyraźniej uznała to za zabawne, bo się roześmiała.

— Tatusiowi by się to nie podobało. On ma dużo złota i byłby bardzo zły, gdyby zniknęło!

— Za złoto wróżek można mieć jedynie to, o czym mówiłyśmy przed chwilą, to znaczy wodne nimfy w jeziorze, wróżki, motyle, no i rzecz jasna chochliki, które mieszkają pod drzewami.

Mary-Lee aż pisnęła z uciechy.

— Ojej, proszę mi opowiedzieć o tych chochlikach! — błagała.

Tilia snuła historie, w które wierzyła święcie będąc dzieckiem: że pod korzeniami drzew mieszkają i pracują chochliki, które wychodzą stamtąd tylko w nocy. Opowiedziała też o wrózkach tańczących w trawie i o tym, że później w tym miejscu wyrastają kręgi białe grzyby.

Mary-Lee była ogromnie przejęta.

— Och, proszę mi pokazać takie miejsce, panno Stevens!

Pojechały tam, gdzie zawsze rosły pieczarki. Tilia zbierała je czasem, a pani Coblin przyrządzała. Znalazła je bez trudu. Rzeczywiście rosły w kręgu, więc Mary-Lee uwierzyła, że są to grzyby wróżek.

— Wyrosły dość dawno — stwierdziła fachowym tonem Tilia. — Jak pójdziemy na spacer do lasu, na pewno znajdziemy świeższe.

— Niech mi pani opowie o wrózkach coś jeszcze — prosiła Mary-Lee.

— Musimy jechać na śniadanie — powiedziała Tilia. — Ale wrócimy tu. Pokażę ci inny las, świerkowy. Na pewno odkryjemy w nim mnóstwo wspaniałych rzeczy!

— Ale to było ciekawe! — wykrzyknęła Mary-Lee.

Nagle przed nimi pojawił się jeździec.

— Ach, tatuś! — zawołała Mary-Lee i popędziła galopem na spotkanie ojca. Tilia ruszyła za nią. Nie spodziewała się, że pan Wickham uda się na przejażdżkę przed śniadaniem. Pewna była, że Roby i Patrick zostali na noc w Staverly i że rano pokażą mu resztę posiadłości, zwłaszcza te części, gdzie Roby zaczął wprowadzać zmiany.

— Wickham płaci bez gadania — wyjaśnił Roby siostrze. — Mogę przeprowadzić wiele rzeczy, które zawsze chciałem zrobić, a na które nigdy nie miałem pieniędzy.

— Bądź ostrożny! — przestrzegła go. — Skoro tyle zapłacił za dom, może mieć obiekcje co do dalszych inwestycji.

— Przecież nie będzie żyć jak król w pałacu, kiedy wszystko dookoła popada w ruinę!

Mówił z taką pewnością siebie, że Tilia zaniechała przekonywania go. Pomyślała jednak, że rozsądniej byłoby porozmawiać szczerze z Wickhamem. Tak wielkie wydatki mogły zaskoczyć milionera. A jeśli byłby bardzo niezadowolony i za wprowadzone w posiadłości zmiany sami musieliby zapłacić z pieniędzy za dzierżawę? A przecież ona postanowiła za wszelką cenę oszczędzać. Przyda się każdy pens, kiedy pan Wickham wróci do Ameryki. Jeśli znów zostaną bez grosza, z czego utrzymają wspaniały dom?

Mary-Lee była już koło ojca. Tilia została nieco w tyle. Podjeżdżając usłyszała, że podniecona dziewczynka szczebiocze o tym, jak cudowna była przejażdżka. Gdy Tilia dołączyła do nich, Clint Wickham obrzucił ją nieprzychylnym, jak się jej zdawało, spojrzeniem.

— Nie przypuszczałem, że tak wcześnie wyjedzie pani na przejażdżkę ze swą uczennicą, panno Stevens.

— Przepraszam, że nie zapytałam pana o pozwolenie — odparła Tilia. — Ale wstałyśmy obie wcześnie, ranek był piękny, więc pomyślałam, że mała wycieczka przed śniadaniem dobrze nam zrobi.

— Jest za kwadrans dziewiąta — zauważył sucho pan Wickham. — Dość długo trwała ta es-



kapada. Pomyślałem, że może macie jakieś problemy.

Powiedział to takim tonem, jakby chciał dać do zrozumienia, że to ona może mieć problemy w związku z samowolnym oddaleniem się. Tilia nie odpowiedziała. Na szczęście do rozmowy wtrąciła się Mary-Lee.

— Śliczny jest ten konik, tatusiu! Najładniejszy!

— Chyba trochę za duży dla ciebie — zauważył pan Wickham, jakby koniecznie musiał coś skrytykować.

Dosiadał karego ogiera, który — jak się domyśliła Tilia — jemu z kolei najbardziej odpowiadał. Ona sama stawiała tego konia na drugim miejscu, zaraz po niesfornym gniadoszu.

— Jestem bardzo głodna! — powiedziała Mary-Lee. — Ścigajmy się, tatusiu! Kto pierwszy dojedzie do stajni!

Z miejsca puściła się galopem. Tilia musiała przyznać, że dziewczynka jeździ świetnie, znacznie lepiej i swobodniej niż dzieci angielskie w jej wieku. Clint Wickham ruszył za córką i Tilia mogła się przekonać, że i Amerykanin doskonale trzyma się w siodle. Zdawał się zrosnięty z koniem.

Podążała za nimi w pewnej odległości, jak przystoi — pomyślała to z uśmiechem — skrom-

nej guwernantce. Stajenni już czekali, by wziąć od nich wierzchowce. Pan Wickham popatrzył na Tilię zsiadającą z konia, po czym powiedział:

— Mam kilka spraw do załatwienia dziś rano. Proponuję, by w tym czasie odbyła pani lekcje z Mary-Lee. Później zawiadomię panią o moich planach na popołudnie.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ruszył w stronę domu. Mary-Lee pogłaskała swojego kasztanka. Kiedy zabrano go do stajni, wsunęła rączkę w dłoń Tili.

— A tak było cudnie! — westchnęła. — Wolałabym po śniadaniu pojechać na konną przejażdżkę, niż mieć te okropne lekcje.

— Skoro ojciec kazał, musimy się wziąć do lekcji — odparła Tilia. — Ale przyrzekam, że nie będzie to zwykła lekcja.

— A jaka? — spytała podejrzliwie Mary-Lee.

— Na pewno ci się spodoba, zobaczysz — odparła tajemniczo Tilia.

Jedząc śniadanie, Tilia zastanawiała się, czy uda się jej zobaczyć z Robym.

Najprawdopodobniej poprzedniego wieczoru wrócił z Patrickiem do Londynu. Jeśli jednak nocowali w dworku, to jej zdaniem popełnili błąd. Im mniej Clint Wickham wiedział, tym lepiej, choć właściwie nie miał powodu, żeby kojarzyć dworek z jej osobą.

Po skończonym śniadaniu Mary-Lee spojrzała na nią wyczekująco.

— Co teraz będziemy robić?

— Pora na lekcję historii. Mary-Lee jęknęła.

— Nienawidzę historii, ale tatuś mówi, że muszę się jej uczyć.

— Obiecałam ci, że to nie będzie zwyczajna lekcja — przypomniała dziewczynce Tilia. — Zaraz wyruszymy w obchód po domu. Tu każdy pokój kryje w sobie cudowną legendę.

— Legendę? — w głosie dziecka zabrzmiał szczery zachwyt i po chwili Mary-Lee tańczyła dookoła swej opiekunki.

Tilia wolała uniknąć spotkania z panem Wickhamem, więc zaczęły zwiedzanie od góry. Ponieważ znała historię każdego kamienia i każdej cegły, pewna była, że zdoła zaciekawić Mary-Lee. Tak też się stało już w chwili, gdy weszły na dach.

Przed nimi rozpostarł się zapierający dech w piersiach widok na całą okolicę. Na dachu stały stare posągi; dostrzegły także pusty maszt flagowy. Tilia wyjaśniła, że służy do wciągania chorągwi herbowej, kiedy w domu przebywa głowa rodu.

— Czemu więc tatuś nie wywiesił chorągwi? — spytała Mary-Lee.

— Może wywiesić tylko swoją własną, a ponieważ jest Amerykaninem, nie ma herbu — wyjaśniła Tilia i pomyślała, że pewnie dlatego Clint Wickham chce założyć w Anglii własną dynastię. Przyjąłby wówczas herb żony księżniczki, a jego nazwisko — pomyślała z pogardą — znalazłoby się w Almanachu Debretta.

Tilia i Mary-Lee spędziły na górze dużo czasu. Do obiadu zwiedziły strych i dotarły do trzeciego piętra.

— Chcę wszystko zobaczyć! Każdy zakamarek! — wołała Mary-Lee. — Obiecała mi pani ciekawą historię o każdym pokoju.

— O każdym pokoju, każdej książce i każdym obrazie — potwierdziła z powagą Tilia. Spodziewała się, że Mary-Lee zostanie poproszona na dół, by mogła zjeść obiad z ojcem. Tymczasem lokaj zawiadomił, że pan Wickham je poza domem. Mary-Lee nie kryła swego rozczarowania, ale Tilia była zadowolona. Ponieważ pan Wickham nie wydał żadnych poleceń co do popołudnia, wybrały się na godzinną przejażdżkę — krótką, gdyż Tilia nie chciała zanadto forsować dziewczynki.

Tym razem panna Stevens wybrała innego konia, równie wspaniałego jak ten, którego dosiadała rano. Miała wyrzuty sumienia, że jest nielojalna wobec starego Kingfishera. Jazda na

młodym, pełnym życia koniu sprawiała jej jednak tak szaloną radość, że była nawet gotowa narazić się na gniew pana Wickhama.

Kiedy po przejażdżce zasiadły do podwieczorku, powrócił pan Wickham. Życzył sobie, by córka zeszła do niego. Mary-Lee wyglądała niezwykle uroczo w obszytej koronką sukience przepasanej błękitną szarfą.

— Musisz iść na dół do ojca — powiedziała Tilia.

— A pani nie zejdzie?

— Nie, kochanie. Tatuś chce zobaczyć się tylko z tobą. Będę tu czekać na twój powrót, położę cię spać.

Mary-Lee nadała się odrobinę.

— Chcę, żeby pani zeszła i opowiedziała tatusiowi, jak cudownie spędziłyśmy dzisiaj dzień.

— Jestem pewna, że sama potrafisz opowiedzieć mu o tym — uśmiechnęła się Tilia.

Niespodziewanie dziewczynka objęła ją i z całych sił przytuliła się do niej.

— To był taki miły dzień — powiedziała. — Chyba najpiękniejszy w moim życiu!

Wybiegła z pokoju i zniknęła na schodach. Z gorzkim uśmiechem, Tilia podeszła do okna.

Dla niej również ten dzień był przyjemny. Obawiała się jednak, że Clint Wickham nie zaapro-

buje jej metod wychowawczych. To twardy człowiek i materialista — pomyślała. Będzie zapewne chciał, żeby Mary-Lee ślęczała nad arytmetyką. Tilia nienawidziła tego przedmiotu, kiedy była małą dziewczynką. Pewnie Amerykanin zażąda też zeszytów wypełnianych pracowicie czasownikami i przymiotnikami. Oprócz gramatyki będą nudne wypracowania, które pochłaniają tyle czasu. Westchnęła. Jeżeli nie zastosuje się do życzeń pana Wickhama, straci posiadłość. Utwierdziła się w tym przekonaniu, kiedy dwie godziny później wróciła Mary-Lee.

— Czy tatuś powiedział ci, gdzie dzisiaj był? — Nie mogła powstrzymać się od zadania tego pytania. Miała nadzieję, że dowie się, gdzie jest Roby.

— Oglądał farmę. — Odpowiedź Mary-Lee zaskoczyła Tilie.

— Czemu właśnie farmę? — zapytała.

— Tatuś mówił, że to wzorcowa farma — wyjaśniła Mary-Lee. — Chce mieć taką samą. Nareszcie Tilia domyśliła się, o co chodzi. Zapewne Roby namawiał go, by ulepszył przestarzałe i źle wyposażone farmy na terenie posiadłości. Pokazał więc Wickhamowi farmę modelową, której właściciela znał doskonale. Wszystko oczywiście starannie zaplanowali z Patrickiem. Roby będzie miał nowoczesną farmę, a Patrick

dostanie prowizję, tak jak w przypadku innych wydatków. Uderzyło ją to, że obaj zachowywali się może nie jak naciągacze, ale przynajmniej jak chciwcy. Ale w końcu — powiedziała sobie — dlaczego nie? Jeżeli pan Wickham chce mieć wszystko co najlepsze, musi liczyć się z tym, że trzeba za to płacić. Dlatego przecież doprowadził Staverly do porządku. Pałac, ogród, park, a teraz farmy, wywrą odpowiednie wrażenie na młodej damie, którą pan Wickham sobie wybierze. Przecież chodzi mu o to, żeby zaprezentować się na jak najkorzystniejszym tle.

Po raz pierwszy ze zdziwieniem zwróciła uwagę na to, że Patrick nie nakłonił go do kupna domu. Potem pomyślała, że trudno byłoby znaleźć dom równie imponujący jak Staverly i w dodatku nie objęty specjalną klauzulą w zapisie, a więc taki, który można sprzedać.

Patrick był bardzo sprytny. Pałac Staverly wyróżniał się nawet wśród najwspanialszych rezydencji w Anglii. Z pewnością podniesie pana Wickhama w oczach szlachetnie urodzonej narzeczonej. A niech tam! — pomyślała. Postanowiła jednak dowiedzieć się czegoś więcej:

— Czy ojciec jest sam?

— Tak, tamci panowie odjechali — odparła Mary-Lee. — Powiedzieli mi, że jestem śliczna, panno Stevens. Uważa pani, że jestem ładna?

— Jesteś śliczna, kiedy się uśmiechasz, i brzydka, kiedy się gniewasz! — odpowiedziała Tilia.

Mary-Lee zaśmiała się.

— A kiedy ja się gniewam?

— Gdy nie dostajesz tego, czego chcesz. Mary-Lee podbiegła do lustra i przyjrzała się uważnie swojej twarzy.

— Teraz jestem ładna! — wykrzyknęła. — A jeden z panów, którzy byli u tatusia, powiedział, że pani też jest ładna, a tatuś na to: „Za ładna jak na guwernantkę!”

Tilia w duchu obawiała się tego. To co usłyszała z ust dziecka, potwierdziło jej obawy, że w każdej chwili może spodziewać się wymówienia.

Pomogła Emily położyć małą do łóżka. Kiedy dziewczynka zmówiła wieczorne modlitwy, otoczyła ramionkami szyję swej nauczycielki i powiedziała:

— Kocham panią, panno Stevens, i myślę, że jest pani bardzo, bardzo ładna!

— Dopóki nie rozgniewam się na ciebie — zażartowała Tilia. — Wtedy uznasz, że jestem brzydka.

— I to bardzo brzydka! — zaśmiała się Mary-Lee.

Tilia pocałowała ją na dobranoc.



— Śpij słodko, kochanie — powiedziała. — I niech ci się przyśnią aniołki.

— A wróżki?

— Oczywiście — uśmiechnęła się Tilia. — Wróżki też! Jutro poszperamy w bibliotece. Może natrafimy na jakieś obrazki z wróżkami?

— Och, tak! Bardzo proszę! — Mary-Lee spojrzała błagalnie.

Otuliwszy dziewczynkę kołderką, Tilia wróciła do szkolnego pokoju. Zamierzała pójść do swego pokoju, kiedy zjawił się lokaj.

— Pan prosi panią do gabinetu, panno Stevens.

Choć spodziewała się tego, serce zabiło jej niespokojnie. Jeśli będzie musiała opuścić Staverly, co na to powie Roby? A Patrick? Na pewno będzie zły.

Rzuciła szybkie spojrzenie na swoje odbicie w lustrze, sprawdzając, czy włosy ma w porządku. Potem ruszyła za lokajem, który szedł przodem, wskazując drogę do gabinetu.

Otworzył drzwi i zaanonsował ją.

Przekroczyła próg pokoju. Ileż to razy, wchodząc tu, zastawała ojca za biurkiem, a matkę z robótką w ręku w fotelu przy kominku. Oddałaby wszystko, by można było cofnąć czas. Z trudem oderwała się od wspomnień. Powtarzała sobie w myśli, że nazywa się teraz Stevens,

a nie Staverly, i jest guwernantką córki amerykańskiego milionera. Clint Wickham stał przy oknie i wyglądał na ogród. Dopiero gdy była na środku pokoju, odwrócił się. Nie zrobił żadnego ruchu w jej stronę, tylko patrzył. Zachwycały go jasne loki wokół czoła i biel skóry w zestawieniu z ciemnoniebieską barwą sukni. Tilia tymczasem była niemal pewna, że zaraz otrzyma wymówienie. Nieświadomie uniosła głowę do góry. Wyraz czujności w jej oczach przerodził się teraz w wyzwanie. W końcu po dłuższym milczeniu pan Wickham podszedł do niej.

— Przykro mi, panno Stevens, że nasza rozmowa nieco się opóźniła.

Wskazał jej krzesło.

— Proszę, zechce pani usiąść.

Tilia posłuchała go. Wikham usiadł naprzeciwko.

— Słyszałem nieco chaotyczne opowieści Mary-Lee o jej dzisiejszych lekcjach.

Najwyraźniej była nimi zachwycona. Jednak zastanawiam się, czy są rzeczywiście użyteczne.

— Myślę, że tak — odparła Tilia uprzejmym tonem.

— Chciałem panią spytać — ciągnął pan Wickham — co pani zdaniem należy przede wszystkim rozwijać w mojej córce?

Mimo że spodziewała się innego pytania, bez najmniejszego wahania rzuciła:

— Wyobraźnię.

— Wyobraźnię? — powtórzył pan Wickham.

— Dlaczego pani tak sądzi?

— Ponieważ jest to jedyna rzecz w życiu, która chroni przed samotnością.

Myślała w tej chwili o sobie. Zdawała sobie sprawę, że jej odpowiedź zaskoczyła pana Wick-hama, który najwidoczniej oczekiwał czegoś innego.

— Nie bardzo rozumiem — stwierdził.

— Widzi pan, wyobraźnia jest czymś, co odróżnia nas od zwierząt. Dzięki wyobraźni można dotrzeć do gwiazd. — Zamilkła na moment.

— I niezależnie od okoliczności człowiekowi z wyobraźnią łatwiej określić, co jest w życiu ważne, a co nie - dodała.

Pan Wickham odchylił się w krześle nieco do tyłu.

— Pani mnie zdumiewa, panno Stevens!

— przyznał. — Czy sama pani do tego doszła?

— Zadał pan pytanie, na które można odpowiedzieć tylko w jeden sposób. Mówię to, co naprawdę czuję. Tu się nie da niczego wymyślić.

Nieoczekiwanie roześmiał się. Wkrótce jednak zreflektował się i jakby usprawiedliwiając powiedział:

— Przepraszam, nie chciałem być nieuprzejmy. Wygląda pani na niewiele starszą niż Mary-Lee, a mówi pani mądrze niczym filozof!

— Nie miałam zamiaru popisywać się przed panem — odparła Tilia. — Odpowiedziałam szczerze na pańskie pytanie. Z tego co usłyszałam dziś od Mary-Lee, wnioskuję, że zabrakło w jej życiu czegoś znacznie ważniejszego niż daty, fakty, zadania arytmetyczne.

— Czy pani zdaniem stało się tak przeze mnie? — spytał Clint Wickham.

— Niestety tak. Ale to nie pańska wina. Nie może pan uczyć jej tego, co jest dla pana nieznanne — odparła Tilia. — Wiedza, którą pan przyswoił sobie w niełatwej szkole życia, jest zupełnie niezrozumiała dla dziecka żyjącego w wygodnych, by nie rzec cieplarnianych warunkach.

— Co pani ma na myśli?

Tilia uśmiechnęła się, co dodało jej wdzięku.

— Staram się wytłumaczyć panu, czego Mary-Lee potrzebuje. Myślę, że najważniejsze jest to, by umiała korzystać z wyobraźni.

Pan Wickham wstał. Z rękami założonymi do tyłu przemierzył kilkakrotnie pokój.

— Poprosiłem panią tutaj, panno Stevens, ponieważ pomyślałem, że jest pani zbyt młoda i niedoświadczona, by uczyć moją córkę. Sama

pani rozumie, że pragnę dla niej jak najstaraniejszej edukacji.

— Obawiałam się, że tak pan właśnie pomyśli — westchnęła Tilia.

— Domyślała się pani, co mam zamiar powiedzieć? — spytał pan Wickham oschłym tonem.

— Tak.

— Skąd? Jak pani mogła to odgadnąć?

— Wyczytałam to z pańskiej twarzy, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. A poza tym mam wrażenie, że znam pański sposób myślenia.

— To znaczy? — spytał.

Ponieważ milczała, Wickham rzucił dość ostro:

— Proszę odpowiedzieć na moje pytanie!

— Dobrze — odparła. — Jest pan człowiekiem interesu, niezwykle bogatym. W stosunkowo młodym wieku, czego wielu ludzi z pewnością szczerze panu zazdrości, zdobył pan znaczny majątek i pozycję. Musi być pan zatem człowiekiem twardym i nieustępliwym. Zamilkła na chwilę, zastanawiając się, czy już spaliła za sobą mosty czy jeszcze nie.

— Ale nie tego pragnie pan dla córki, która, po pierwsze, jest jeszcze dzieckiem, a po drugie, będzie kiedyś kobietą.

Clint Wickham patrzył na nią bez słowa. Po chwili Tilia podjęła:

— Daty i liczby są ważne dla chłopca, ale z Mary-Lee nie zrobią uroczej, pełnej wdzięku młodej kobiety. — Urwała na moment. — To, co ona czuje i do czego dąży, ma dużo większe znaczenie niż wiedza i wszystko, co mogą dać miliony dolarów.

Głos Tili brzmiał kojąco i spokojnie, kiedy dodała cicho:

— Żadne pieniądze nie zapewnią łagodnej, słodkiej kobiecości. Żadna akademicka nauka nie zaspokoi potrzeb serca.

Tilia nie bardzo wiedziała, skąd się jej to wszystko bierze. Słowa zdawały się same płynąć z jej ust. Były prawdziwe, ponieważ to nie rozum je dyktował. Pływały z serca. Rozsądek podpowiadał, że zamiast tyle mówić, powinna starać się przekonać pana Wickhama, iż jest świetną nauczycielką. Tymczasem ona wyraziła to, w co gorąco całym sercem wierzyła.

Jeżeli zwolni ją, trudno. Nagle uświadomiła sobie, że Clint Wickham patrzy na nią zdumionym wzrokiem. Umilkła, a on podszedł i znów usiadł naprzeciwko.

Po chwili powiedział zmienionym głosem:

— Jak to się dzieje, że pani, tak młoda i piękna, mówi takie mądre rzeczy?

## 5

Dochodziła północ, gdy Tilia położyła się spać. Był to bez wątpienia najbardziej niezwykły wieczór w jej życiu. Podczas rozmowy w gabinecie Clint Wickham rzekł niespodzianie:

— Pójdę się przebrać do kolacji. Chciałbym ją zjeść w pani towarzystwie.

Tilia podniosła na niego zdumione oczy.

— Ja... kolację z panem?

— O ósmej. Milczała.

— Czy ma pani zamiar powiedzieć, że wolałaby pani nie przyjąć mojej propozycji?

— Rzeczywiście... tak pomyślałam — wyznała Tilia uczciwie. — To chyba... nie jest stosowne.

— Dlaczego?

Zadał pytanie w sposób dość obcesowy. Tilia wiedziała, że nie wypada jej jeść kolacji sama z mężczyzną. Jednocześnie była zatrud-

niona przez niego, a to jeszcze bardziej komplikowało sytuację. Służba natychmiast zaczęłaby plotkować.

— W Anglii jest przyjęte, że guwernantka może zejść na dół na obiad, ale nigdy nie bywa proszona wieczorem. Kolacja wyłącznie w towarzystwie chlebodawcy byłaby poczytana za skandal.

Clint Wickham zaśmiał się.

— Tego właśnie się spodziewałem po Anglii, ale jestem Amerykaninem, a jak pani wie, w moim kraju nie ma podziału na klasy.

— Za to pieniądze tworzą bariery, które u nas istnieją z racji urodzenia — odparła Tilia.

— Nie jest to kwestia, którą chciałbym w tej chwili roztrząsać — odparł Clint Wickham.

— I czy to Anglia, czy Honolulu, życzę sobie, by zjadła pani ze mną kolację.

— Dobrze... — odparła Tilia z lekkim ociąganiem. — Prawdę mówiąc, niezręcznie mi panu odmówić...

Wychodząc z gabinetu czuła na sobie jego wzrok. Pobiegnęła na górę. Kiedy znalazła się w swoim pokoju, serce biło jej niespokojnie. W życiu nie spotkała jej nic równie niezwykłego i fascynującego jak wymiana zdań z Clintem Wickhamem.



Nałożyła jedną z najładniejszych wieczorowych sukien, która oczywiście nie była tak elegancka jak stroje pań przedstawianych przez Patricka panu Wickhamowi. Spojrzała w lustro. Ponieważ od dawna nie miała okazji, by ładnie się ubrać, doszła do wniosku, że wygląda naprawdę ślicznie. Ze słów Mary-Lee wynikało, że Patrick stwierdził to samo. Tilia nie podejrzewała nawet, że mógł ją komplementować za jej plecami. Chciał zapewne wybadać, co Clint Wickham o niej myśli. A on omal jej nie zwolnił! — wzdrygnęła się. Po rozmowie z Clintem Wickhamem i zaproszeniu na kolację Tili wydało się, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Mimo to nie czuła się pewnie. Kiedy zeszła na dół, była onieśmielona.

Amerykanin czekał na nią w salonie. Wpatrywał się w nią równie badawczo jak przy pierwszym spotkaniu. W wieczorowym stroju, najpewniej zamówionym na Saville Row, wyglądał niezwykle elegancko.

Na tym Patrick też zarobił — pomyślała mimo woli.

Nagle fakt, że Patrick i jej brat ciągną pieniądze od Clinta Wickhama, wydał się jej godny potępienia. Zasluguje na to! — starała się przekonać samą siebie, ale bezskutecznie.

Podczas kolacji Clint urzekł ją swoją erudycją. Był niewątpliwie najbardziej inteligentnym mężczyzną, z jakim rozmawiała w życiu, a przy tym żywo interesował się tym, co ona ma do powiedzenia. Dyskutowali o tylu różnych rzeczach i tak byli tym pochłonięci, że Tilia nie zwracała uwagi na to, co je.

Wypowiadała się na temat spraw, w których do tej pory uważała siebie za ignorantkę. Ze zdumieniem stwierdziła, że w dyskusji wykorzystuje wiadomości zaczerpnięte z książek, które czytała dawno temu, a które nadspodziewanie trwale zapadły jej w pamięć. Z ogromną przyjemnością zauważyła, że Clint Wickham poważnie traktuje ich słowną potyczkę. Po skończonej kolacji długo jeszcze siedzieli przy zapalonych świecach, rozmawiając nie tylko o edukacji Mary-Lee. Wymieniali poglądy na różne kwestie. Od czasu do czasu Clint Wickham powtarzał:

— Skąd pani to wszystko wie? Jak pani doszła do tego? Kto panią uczył?

Tilia śmiała się.

— Na ostatnie pytanie mogę bez trudu odpowiedzieć.

— Proszę w takim razie zdradzić tę niezwykłą tajemnicę!

— Książki, kwiaty, lasy, konie — odparła — oraz moja własna wyobraźnia, dzięki której

wędruję po świecie, jakiego inaczej nigdy bym nie oglądała.

Odchylił głowę do tyłu, przyglądając się jej uważnie.

— Z całą odpowiedzialnością muszę stwierdzić, panno Stevens, że jest pani niezwykłą kobietą. Lękam się tylko, co będzie, kiedy osiągnie pani poważny wiek trzydziestu lat.

— Dlaczego? — spytała ze śmiechem Tilia.

— Bo zapewne stanie pani przed wyborem, czy zostać profesorem uniwersytetu czy też pierwszą kobietą premierem w dziejach Anglii!

Tilia roześmiała się.

— Dość nieprawdopodobna wizja.

— To pani jest nieprawdopodobna, a więc wszystko jest możliwe.

— Biorąc pod uwagę pańskie sukcesy finansowe, określenie to bardziej pasuje do pana — odwzajemniła komplement.

Prowokowali się wzajemnie, droczyli ze sobą, raz po raz wybuchała zażarta dyskusja.

Kontynuowali ją w salonie. Nagle Tilia spojrzała na zegar i przeraziła się.

— Muszę iść spać! — wykrzyknęła. Clint Wickham wstał z fotela.

— Wcale nie mam ochoty pani puścić. Jest jeszcze tyle rzeczy, o których chciałbym porozmawiać.

— Mamy przed sobą dzień jutrzejszy.

— Jutro zjeżdża tu wieczorem całe towarzystwo — powiedział. — Teraz żałuję, że nie będę sam.

Zamilkł na chwilę, po czym dodał:

— Oczywiście sam z panią i z Mary-Lee. Tilia wiedziała, że to Patrick zorganizował przyjęcie i że wśród zaproszonych osób na pewno znajdzie się jakaś córka księcia. Reszta gości będzie składać się z interesujących uroczych mężatek występujących w asyście mężów lub bez nich. W takim towarzystwie obracał się Clint Wickham po przyjeździe do Londynu.

Ze względu na swój majątek otrzymywał zaproszenia do najlepszych domów, wliczając w to Marlborough House. Tilia pomyślała, że Clint Wickham musi być strasznym hipokrytą, skoro twierdzi, że wolałby być z córką i z nią. Na pewno będzie zachwycony gośćmi i tym, że może ich godnie podjąć. A może droczy się z nią w ten sposób?

— Dobranoc panu — powiedziała i ruszyła w stronę drzwi. Jakimś szóstym zmysłem wyczuła, że nawet się nie poruszył, tylko patrzy w ślad za nią.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, podeszła do okna, rozsunęła zasłony i wyjrzała.

Fontanna szumiała jak zwykle, tyle że teraz strumienie

wody lśniły nie w słońcu, lecz w srebrnym blasku księżyca. Wszystko dookoła wyglądało romantycznie i tajemniczo. Jak zawsze gdy widziała coś pięknego, dreszcz przeniknął ciało Tili i poruszył do głębi serce. Jak wytłumaczyć moje odczucia komuś takiemu jak Clint Wickham? — pytała siebie.

Wolno rozebrała się, nie odrywając oczu od widoku za oknem. Nałożyła nocną koszulę. Potem wyciągnęła szpilki z długich włosów i szczotkowała je, wciąż patrząc na fontannę. Zatraciła się zupełnie w świecie fantazji, który był znacznie bardziej realny niż wszystko, co właśnie działo się w Staverly. Wreszcie westchnęła głęboko i odłożyła szczotkę.

Wsunęła się do łóżka, nie zaciągając zasłon. Światło dnia obudzi ją wcześniej rano i może znów razem z Mary-Lee przejadą się konno przed śniadaniem.

Ledwie zdążyła zamknąć oczy, gdy otworzyły się drzwi. Przez głowę przemknęła błyskawicznie myśl, że to Mary-Lee i że być może coś się stało. Zaniepokojona usiadła na łóżku. Ku jej ogromnemu zdziwieniu do pokoju wszedł Clint Wickham. W rękę niósł zapaloną świecę, która w zasadzie była niepotrzebna, tak jasno świecił księżyc. Miał na sobie długi ciemny szlafrok, więc musiał się już rozebrać do snu.

— Czy coś się stało? — spytała przestraszona.

Zamknął za sobą starannie drzwi, podszedł do łóżka i postawił świecę na stoliku obok.

— Co się stało? — powtarzała coraz bardziej przerażona. — Co... pan tutaj robi?

Usiadł na łóżku i powiedział cicho:

— Nic się nie stało, ale kiedy pani poszła na górę, pojąłem, że nie mogę pozwolić pani odejść.

— Nie rozumiem... — wykrztusiła Tilia. — Wcale pan nie mówił, że mam odejść... Myślałam, że mogę zostać i zajmować się Mary-Lee.

Clint Wickham uśmiechnął się. Tilia zauważyła, że w blasku księżyca rysy jego twarzy złagodniały i że Amerykanin wygląda jeszcze bardziej przystojnie niż zwykle.

— Przyszedłem — zaczął — ponieważ chcę porozmawiać o nas.

— Ależ... panie! — wykrztusiła Tilia. — Jeżeli ktoś zauważy, że pan tu jest, może się...

Chciała powiedzieć: „zgorszyć”, ale w końcu dodała: „zdziwić”.

— Nikt nie będzie nic wiedział — rzekł uspokajająco Wickham. — Proszę mi powiedzieć, Tilio, co pani o mnie myśli?

Tilia uśmiechnęła się.

— To łatwe pytanie. Myślę, że jest pan najmądrzejszym mężczyzną, jakiego spotkałam w życiu... mimo że wygłasza pan poglądy, z którymi nie do końca się zgadzam.

— Podobnie myślę o pani... jest pani najpiękniejszą istotą, jaką spotkałem w życiu.

Powiedział to tak, że Tilia poczuła się onieśmielona.

— Proszę... — zaczęła. — Sądzę, że powinien pan odejść... choć tak miło się z panem rozmawia. A jeśli się pan zdecyduje na wyjazd do Londynu z całym towarzystwem, możemy wrócić do rozmowy za parę dni.

— Musimy pomówić teraz, od razu — oznajmił nieznoszącym sprzeciwu tonem Clint Wickham. — Pragnę cię, Tilio, jak jeszcze nigdy w życiu nie pragnąłem żadnej kobiety. Spojrzała na niego w najwyższym zdumieniu. Jego głos nagle stał się dźwięczny, głęboki i władczy. Choć Amerykanin nie poruszył się, miała wrażenie, że przysuwa się coraz bliżej w jej stronę.

— Nie wiem... o czym pan mówi — wyjąkała szeptem.

— Jesteś taka młoda i niedoświadczona — powiedział. — Chcę, żebyś była moja. Pragnę opiekować się tobą. I zrobię to, damę na to słowo.

Tilia patrzyła na niego rozszerzonymi oczami. Ledwo mogła uwierzyć, że to nie sen. Czy to możliwe, że sam Clint Wickham siedzi na jej łóżku? Próbowwała coś powiedzieć, ale trudno to było zrozumieć. Gdy zauważył jej zmieszanie, powiedział:

— Pragnę, Tilio, żebyś do mnie należała. Chcę nauczyć cię miłości i nie dopuszczę, żebyś kiedykolwiek jeszcze musiała sama zarabiać na życie.

Tilia pomyślała, że choć robi to w dziwny sposób, ale najwyraźniej prosi ją o rękę. Czekał na jej odpowiedź, a ona zdołała wyszeptać niewyraźnie:

— Ale przecież przyjechał pan do Anglii, by poślubić córkę księcia!

— Więc wiesz o tym! — wykrzyknął. — Tak, to prawda. Nie miałem okazji powiedzieć ci, skąd się wziął ten pomysł. Otóż moja matka była Angielką i może to z powodu tej angielskiej krwi zawsze pragnąłem wrócić do Anglii.

Tilia słuchała uważnie, ale nie usłyszała odpowiedzi na swoje pytanie.

— Skoro ma pan ożenić się z córką księcia... to co znaczą pańskie słowa?

— Widzisz, potrzebna mi jesteś w inny sposób. — Urwał, po czym mówił dalej: — Kiedy pierwszy raz zobaczyłem cię w pokoju szkol-



nym, od razu wiedziałem, że jesteś inna niż kobiety, jakie dotąd w życiu spotykałem. Byłem wręcz przestraszony wrażeniem, jakie na mnie wywarłaś!

— Przestraszony?

— Tego, co czuję do ciebie — ciągnął Clint Wickham — nigdy nie czułem do żadnej innej kobiety, choć poznałem ich w życiu tak wiele.

— Jak to...? — spytała Tilia. — Myślałam, że pan jest nastawiony do mnie niechętnie...

— Powiedziałem już, że ogarnął mnie strach

— tłumaczył cierpliwie. — Przeraziłem się swoich uczuć. Zawsze panowałem całkowicie nad nimi i nigdy nie sprawiały mi takich niespodzianek jak przy tobie.

Tilia patrzyła na niego, nadal nie bardzo rozumiejąc.

— Dzisiaj zrozumiałem, że jesteś kobietą, jakiej pragnę. Sprzeciwiasz mi się, pobudzasz do działania i inspirujesz mnie. — Zacisnął usta.

— Tak, inspirujesz. Tego słowa nie użyłem jeszcze nigdy w stosunku do nikogo... ani mężczyzny, ani kobiety! Jesteś moim natchnieniem!

— To bardzo pochlebne, co pan mówi — przyznała Tilia. — Ale... to właściwie rola pańskiej żony. Nie zaakceptuje ona tego, że szuka pan natchnienia u kogoś innego.

— Moja żona... Jeszcze nie wybrałem nikogo — odparł Clint Wickham. — Poza tym jej zadanie będzie inne.

Tilia spuściła wzrok.

— No tak... oczywiście! — odparła chłodno.

— Nie jest tak, jak myślisz — zapewnił ją gorączkowo Clint Wickham. — Będzie nosić moje nazwisko i zostanie matką moich dzieci. Dzięki niej będę się liczył w tym kraju, tak jak liczę się teraz w Ameryce.

W jego głosie zabrzmiała nuta determinacji, która świadczyła wymownie, że wszystko zostało z góry zaplanowane. Miał to być ożenek dla interesu i stosunków, a nie związek dyktowany sercem.

— Widzę... że pan to starannie obmyślił — powiedziała. — Prawdę mówiąc, nie dostrzegam tu miejsca dla siebie.

Clint Wickham uśmiechnął się.

— Jak to się dzieje, że jesteś niezwykle rozumna w wielu sprawach i taki straszny dzieciak w innych?

Oczy Tili w świetle księżyca wydawały się ogromne, kiedy patrzyła na niego.

— Proszę cię — wyjaśnił cichym głosem — abyś żyła ze mną i należała do mnie. Byś pomogła mi tak, jak nikt na świecie oprócz ciebie nie może mi pomóc.

W jego głosie zabrzmiała lekko żartobliwa nuta, kiedy dodał:

— Wiesz, pierwszy raz w życiu proszę kogoś

**O** pomoc.

— Mam żyć z panem...?

Słowa z trudem wydostawały się na usta. Nagle wydała okrzyk przerażenia.

— Nie... to znaczy... pan nie...?

Urwała i przycisnęła ręce do piersi w geście obrony. Drżący i niepewny głos zdradzał gniew

1 oburzenie.

Clint Wickham dostrzegł zgrozę malującą się w jej oczach.

— Nie chciałem cię urazić — powiedział. — Zrozum, mogę uczynić cię szczęśliwą. Będziesz bogata, moja najdroższa, tak bogata, że jeśli kiedykolwiek się rozstaniemy, w co nie wierzę, nigdy nie będziesz musiała martwić się o pieniądze! Będziesz miała wszystko, czego zapragniesz!

Uświadomił sobie, że od dłuższej chwili Tilia nie poruszyła się, że siedzi nieruchomo jakby skamieniała. Pojął nagle, że głęboko ją zranił. Wyciągnął rękę w jej stronę.

Krzyknęła i odsunęła się gwałtownie od niego.

— Nie... nie! Jak pan śmie zwracać się do mnie w ten sposób! Gdyby żyła mama...!

Teraz Clint Wickham zastygł bez ruchu.

— Proszę... wyjść stąd! I nigdy więcej nie zwracać się do mnie w ten sposób!

Wstrzymała na chwilę oddech.

— Powinnam natychmiast odejść... Wstać i wyjechać stąd!

— Posłuchaj mnie, Tilio — powiedział Clint Wickham. — Naprawdę nie miałem zamiaru cię obrazić. Pokornie proszę, wybacz mi. Nie przypuszczałem, że mogę cię dotknąć.

Jestem Amerykaninem i nie zawsze wiem, jak należy się zachować wobec ludzi takich jak ty!

Tilia milczała.

— Błagam, zapomnij o tej nocnej wizycie. Wyznaję, nie spodziewałem się takiej reakcji z twojej strony.

— Przecież to... wstrętne... to grzech! — powtarzała Tilia, jakby starając się go przekonać.

— Masz prawo tak sądzić. Proszę, Tilio, wybacz mi. Przysięgam, że to się nigdy nie powtórzy.

W oczach Tili pojawiły się łzy, mimo to starała się patrzeć na Clinta. Wickham wyjął chusteczkę z kieszeni szlafroka i pochyliwszy się osuszył je delikatnie.

— Przepraszam... naprawdę przepraszam — powiedział. — Nie możesz być taka okrutna, musisz mi wybaczyć!

— Chciałabym — szepnęła Tilia — ale...

Cały czas w jej głowie kołatała myśl, że powinna natychmiast odejść. Clint Wickham musiał ją wyczytać z oczu dziewczyny.

— Jeżeli uciekniesz, ruszę za tobą w pościg! Goście nie zastaną gospodarza i wywoła to straszny skandal!

Tilia wiedziała, że stara się wywołać jej uśmiech i rozładować sytuację. Powiedziała:

— Proszę mi obiecać, że nigdy nie będzie pan do mnie mówić w ten sposób!

— Przysięgam — oświadczył uroczyście Clint Wickham. — A ty mi musisz obiecać, że zostaniesz i zajmiesz się Mary-Lee, a czasem także mną.

Dojrzał podejrzliwość w jej spojrzeniu, więc dodał szybko:

— Nie w taki sposób, jaki proponowałem przedtem, ale tak jak dziś wieczorem, kiedy rozmawialiśmy, śmieliśmy się i trochę nawet się kłóciliśmy. Natchnęłaś mnie nowymi ideami i jak już powiedziałem, zainspirowałaś mnie. A tego jeszcze nigdy nikomu nie udało się dokonać.

— Czy tego właśnie... pan pragnie? — spytała Tilia.

Było to pytanie zadane głosem dziecka bojącego się ciemności. Clint Wickham spojrział na nią z czułością.

— Wiem jedno. Nie mogę cię utracić. Jak długo przebywasz pod tym dachem, dyktujesz warunki, a ja dostosuję się do ciebie, jeśli tylko będzie to w mojej mocy.

Ujął jej dłoń w obie ręce. Dotknąwszy jej, poczuł, że zadrżała.

— Coś naprawdę cennego jest między nami — powiedział. — Jestem pewien, że ty też nie chciałabyś tego utracić.

Milczała, a on dodał:

— Bardziej niż cegokolwiek na świecie pragnę cię pocałować, ale ponieważ chcę postępować tak, byś nie wątpiła w moją szczerłość i w szacunek, jakim darzę cię, po prostu mówię ci: dobranoc.

Pochylił głowę i ucałował jej rękę. Poczula na skórze usta twarde i gorące. W tym geście Amerykanina było jakby błaganie. Jej pierś przeszył dziwny rozkoszny dreszcz, jakiego nigdy do tej pory nie doświadczyła.

— Dobranoc, moje kochanie — powiedział Clint Wickham. — Niech Bóg czuwa nad tobą tak, jak ja bym czuwać pragnął.

Mówiąc te słowa podniósł się, wziął świecę i ruszył w stronę drzwi. Otworzywszy je, odwrócił się. Zdawało mu się przez chwilę, choć oczywiście była to tylko gra światła, że dwa anioły stoją na straży po obu stronach łóżka Tili.

— Zamknęłaś przede mną wrota raju — powiedział smutno. — A tu na zewnątrz jest bardzo samotnie.

Odszedł. Tilia wpatrywała się w zamknięte drzwi zdumiona i zmieszana.

Otworzywszy oczy następnego ranka Tilia poczuła, że jest ogromnie znużona. Długo nie mogła zasnąć. Zapadła w sen, gdy blask księżyca nieco przybladł. Ukoїła ją niezwykła cisza, jaka zdarza się tuż przed brzaskiem. Obudziła się późno. Nie było już czasu na przejażdżkę przed śniadaniem.

Kiedy weszła do szkolnego pokoju, Mary-Lee zasypała ją wyrzutami.

— Myślałam, że przyjdzie mnie pani obudzić, panno Stevens!

— Przykro mi, ale zasnęłam — odparła Tilia. — Pojedziemy zaraz po śniadaniu, a potem pokażę ci kolejny ciekawy pokój.

— I opowie mi pani mnóstwo historii?

— Tak, kochanie.

W drodze do stajni pomyślała, że najprawdopodobniej Clint Wickham, tak jak poprzedniego dnia, jeździł konno przed śniadaniem. Trudno jej było uwierzyć, że to co zdarzyło się ubiegłej nocy, nie było snem. Czy on naprawdę przyszedł do jej pokoju? Siedział na brzegu jej łóżka i pro-

sił, by została jego... kochanką? To słowo nie mogło jej przejść przez gardło. Prawdę mówiąc, nie była pewna, co ono oznacza. Z tego co wyczytała z książek, wiedziała jedynie, że na przykład w życiu królów zawsze występowały zarówno kochanki, jak i żony. Nigdy dotąd poważniej się nad tym nie zastanawiała. Z książek wynikało, że małżeństwo króla bywało zawierane ze względu na dobro kraju, natomiast kochankę, bliską jego sercu, wybierał monarcha sam. Król nie mógł wprawdzie ofiarować swej wybrance korony, ale za to władała jego sercem, a tego przecież kobieta najbardziej pragnie. Należenie do mężczyzny bez błogosławieństwa kościoła jest jednak złe i grzeszne. Tilia przypomniała sobie, co się działo w wiosce, kiedy jedna z dziewcząt wróciła z Londynu. Pracowała tam jako służąca, a po pewnym czasie okazało się, że będzie mieć nieślubne dziecko. Matka Tili była mocno zgorzona, że taka historia wydarzyła się w przyzwoitej rodzinie. Od nieszczęsnej dziewczyny wszyscy się odsunęli. W końcu popełniła samobójstwo, rzucając się do rzeki. Tilia była wtedy jeszcze bardzo młoda i przez przypadek usłyszała rozmowę swojej niani z pokojówkami. Starsza kobieta powiedziała, że to najlepsze, co mogło spotkać tę biedacz-



kę. Słowa te wydały się jej okrutne i żałowała ogromnie, iż nie miała okazji porozmawiać z dziewczyną, zanim wydarzyło się nieszczęście. Nie wiedziała dokładnie nawet, co oznacza określenie „nieślubne dziecko” ani używane w wiosce słowo „bękart”. Mimo że od tamtych wydarzeń upłynęło sporo lat, Tilia nadal nie wszystko rozumiała. Wiedziała, że jeśli mężczyzna i kobieta pobierają się, po jakimś czasie mają dzieci, ale jak to się dokładnie dzieje, nie miała pojęcia. Więc jeśli zgodzi się na prośbę Clinta Wickhama, jeżeli będzie z nim żyć, to samo może się jej przytrafić. Potem pewnie będzie musiała odebrać sobie życie, skacząc do rzeki. Jak mogę nawet myśleć o czymś takim? — skarciła się. Przecież obiecała zapomnieć o jego propozycji! Starła się ze wszystkich sił, ale wciąż powracało wspomnienie rozpalonych ust na jej dłoni. Pewna była, że to straszny grzech, ale jakże cudownie byłoby poczuć te usta na swoich! Nie, trzeba za wszelką cenę zapomnieć o wszystkim!

Kiedy znalazły się w stajni, Tilia poprosiła o gniadosza, na którym jeździła poprzedniego dnia. Chciała mieć konia narowistego. Może, jak się zajmie poskramianiem go, zapomni o twarzy Clinta Wickhama skąpanej w księżycowym blasku?

Puściły się galopem po otwartej przestrzeni. Pojechały do innego lasu, ale Tilia tak była

zaabsorbowana wypadkami ubiegłej nocy, że nie potrafiła odnaleźć wśród drzew żadnej magii. Oczami wyobraźni starała się ujrzeć Hylasa i nimfy wodne, ale w uszach ciągle dźwięczał głos Clinta Wickhama, widziała jego oczy wpatrzone błagalnie. Z trudem usiłowała skupić się na historiach o rycerzach i smokach, którymi chciała zainteresować swoją wychowankę. Niestety wszyscy rycerze w jej wyobraźni przypominali Clinta Wickhama.

Księżniczką, którą rycerz uratował i która gorąco pragnęła rzucić mu się w ramiona z wdzięczności za ocalenie z paszczy potwora, była ona sama. Problem polegał na tym, że Clint Wickham był jednocześnie rycerzem i smokiem.

— To nie była ciekawa historia! — skwitowała opowieść Mary-Lee ku wielkiemu wsty-  
dowi Tili.

Ruszyły stępa w powrotną drogę przez park. Przed podjazdem natknęły się na dwóch męż-  
czyzn stojących pod starym dębem. Tilia uświadomiła sobie, że już od jakiegoś czasu  
ludzie ci musieli je obserwować. Kiedy zbliżyły się, jeden z mężczyzn podszedł do nich.  
— Dzień dobry! — powiedział z wyraźnym amerykańskim akcentem. — Czy to córka  
Wickhama jedzie z panią?

Przyjrząwszy mu się bliżej Tilia doszła do wniosku, że jest coś w tym człowieku, co budzi w niej odrazę i niepokój. Niemal bez namysłu odparła:

— Nie. To młoda dama, która przyjechała do niej z wizytą.

— Ach tak! — w głosie Amerykanina zabrzmiało wyraźne rozczarowanie.

Tilia uświadomiła sobie, że Mary-Lee odwróciła głowę w jej stronę. Bała się, że dziewczynka zaprzeczy, więc zawołała do niej:

— Chodź! Ścigamy się do mostu! Mary-Lee nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Spięła konia i puściła się galopem, Tilia ruszyła za nią. Dopiero gdy odjechały na sporą odległość, obejrzała się. Dwaj mężczyźni stali na środku drogi i dyskutowali zawzięcie. Twarze mieli zwrócone w stronę Staverly i najwyraźniej rozmawiali o domu. Teraz nabrała pewności, że są groźni. Przypomniały się jej różne historie, jakie słyszała o porywaniu dzieci bogatych ludzi. Zastanawiała się, co zrobić, żeby nie przestraszyć Mary-Lee, a jednocześnie uchronić dziewczynkę.

Dojechały do stajni i przekazały konie w ręce stajennych.

Tilia poprowadziła Mary-Lee tylnym wejściem, aby mężczyźni stojący po drugiej stronie domu ich nie dostrzegli.

— Idź na górę, kochanie — powiedziała Tilia, gdy dotarły do hallu. — I poproś Emily, żeby pomogła ci się przebrać.

— Nie idzie pani ze mną? — spytała Mary-Lee.

— Pójdę najpierw do biblioteki po książkę, którą chcę ci pokazać. Są tam zajmujące opowieści i piękne obrazki.

To wystarczyło.

— Proszę się pośpieszyć, panno Stevens — błagała Mary-Lee. — Może zdąży mi pani przeczytać ciekawą historię jeszcze przed obiadem.

Pobiegła szybko na górę. Kiedy zniknęła z oczu Tili, ta zwróciła się do lokaja:

— Gdzie jest pan Wickham?

— W gabinecie, proszę pani.

Tilia spiesznie ruszyła korytarzem, licząc w duchu na to, że Clint Wickham będzie sam. Nasłuchiwała chwilę stojąc pod drzwiami, a ponieważ nie usłyszała żadnych głosów, otworzyła drzwi i weszła do środka.

Clint Wickham siedział przy biurku i coś pisał. Nie podniósł nawet głowy. Dopiero po chwili, jakby wyczuwając jej obecność, spojrzał w jej stronę i natychmiast wstał. Podeszła do niego i nagle poczuła się zbyt zawstydzona, by spojrzeć mu w oczy.

— Pięknie wyglądasz dzisiaj! — powiedział cichym głosem.

— Muszę... coś panu powiedzieć. Dopiero teraz podniosła wzrok. W jego oczach pojawił się błysk szalonej nadziei, który zdradził, że Amerykanin liczy na to, iż ona zmieni zdanie.

— To dotyczy Mary-Lee — wyjaśniła pośpiesznie. — Boję się, że jest w niebezpieczeństwie!

— W niebezpieczeństwie?! — wykrzyknął Clint Wickham. — Skąd taka myśl?

— Na drodze do pałacu spotkałyśmy dwóch Amerykanów — odparła Tilia. — Pytali mnie, czy to pańska córka.

— Co im powiedziałaś?

— Że to dziewczynka, która przyjechała do niej z wizytą.

Clint Wickham uśmiechnął się.

— Jak to się dzieje, że z twoją urodą jesteś tak bystra i inteligentna?

— Naprawdę się przestraszyłam! — wyznała Tilia. — Bałam się, że będą chcieli porwać Mary-Lee.

Clint Wickham zachmurzył się, po czym westchnął:

— Myślałem, że tu, w Anglii, tego rodzaju rzeczy się nie zdarzają. Na ranczu i w Nowym

Jorku mała jest dobrze strzeżona. Ranczo pilnowane jest w dzień i w nocy.

— Ci ludzie mogli przypląć za panem z Ameryki — wyraziła przypuszczenie Tilia.

— Teoretycznie jest to możliwe — zgodził się Clint Wickham. — To jedna z bolączek trapiących bogaczy!

— Co w takim razie zrobimy?

— Podoba mi się, że mówisz „my” — uśmiechnął się. — Rzeczywiście, musimy się tym zająć. Ufam ci bezgranicznie.

— Zrobię, co pan każe — odparła Tilia. Bojąc się, że jej słowa mogą zostać opacznie zrozumiane, szybko dodała:

— Lecz nie wolno nam jej przestraszyć.

— Oczywiście, masz rację — zgodził się znów Clint Wickham. — Wydam polecenie, by pilnowano domu. A na przejażdżkach będzie wam towarzyszyć stajenny z rewolwerem. Tilia skinęła głową.

— Jeśli można... też chciałabym mieć rewolwer.

— Umiesz strzelać? — zdziwił się Clint Wickham.

— Ojciec mnie nauczył.

Wickham podszedł do biurka i otworzył szufladę.

— To mój ulubiony — wyjaśnił. — Zawieruszył się między papierami i wraz z nimi tu przyjechał. Bardzo zdziwiłem się, kiedy zobaczyłem go w moim biurku w Anglii. Był to mały rewolwer, najmniejszy, jaki Tilia kiedykolwiek widziała. Clint Wickham wręczył go jej wraz z pudełkiem naboii.

— Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała go użyć — powiedział.

— Ja też mam taką nadzieję — westchnęła szczerze Tilia. — Nie mogę wprost uwierzyć, że coś takiego dzieje się w Staverly.

— To moja wina. Nie podjąłem odpowiednich środków ostrożności. — W jego głosie zabrzmiał gniew.

— Niech pan nie wini siebie. W Anglii bardzo rzadko zdarzają się porwania — starała się pocieszyć go Tilia.

— Nie chciałbym, żeby moja córka stała się wyjątkiem od tej reguły — odparł Clint Wickham. — Dzięki ci, najmilsza Tilio, że ostrzegłaś mnie, nim stało się coś złego!

Po tych słowach policzki Tili zabarwiły się na różowo. Dostrzegła płomień w oczach Clinta Wickhama i zawstydzona szybko się odwróciła.

— Muszę przygotować się do obiadu — powiedziała dość niepewnym głosem.

— Dziś zjecie ze mną.

— Nie, dziękuję... to chyba byłoby niestosow... — urwała nagle.

Zobaczyła wyraz jego oczu i przypomniało się jej, że wieczorem ma być wielu gości.

Pewnie więc nie zobaczą się przez cały weekend.

— Dobrze — odparła krótko. — Będziemy punktualnie.

Oboje jednocześnie uśmiechnęli się. Ich oczy spotkały się i tak się jakoś stało, że przez dłuższą chwilę nie mogły się od siebie oderwać. Wreszcie Tilia ruszyła w stronę drzwi.

Kiedy szybkim krokiem przemierzała korytarz idąc do swego pokoju, miała wrażenie, że ucieka od samej siebie. Cały czas ścisnęła rewolwer ukryty w kieszeni stroju do konnej jazdy.



## 6

Po powrocie z przejażdżki, podczas której towarzyszył im stajenny, Tilia doszła do wniosku, że za bardzo się pośpieszyła ze swoimi podejrzeniami. Przecież tak naprawdę nie miała żadnych realnych podstaw, by przypuszczać, że dwaj Amerykanie, z którymi rozmawiała przy drodze, żywią jakieś złe zamiary. Czuła się nieswojo jeżdżąc z eskortą. Mały rewolwer, który dostała od Clinta Wickhama, przez cały czas spoczywał w jej kieszeni. Chyba trochę przesadziłam! — wyrzucała sobie. Jednocześnie gdzieś głęboko dawał o sobie znać instynktowny lęk, choć nie dostrzegła żadnego śladu Amerykanów przy drodze, w parku czy na polach. Ponieważ towarzyszył im stajenny, Tilia nie pojechała do zaczarowanego lasu. Nie chciała przy obcym człowieku zdradzać swoich sekretów. Złościło ją to, że została pozbawiona ulubionej przyjemności, ale na szczęście rozkosz dosiadanego wspaniałego

konia w jakimś stopniu rekompensowała tę stratę. Odczuwała niezmierną radość, galopując na szlachetnym zwierzęciu. Mary-Lee nie wyraziła zdziwienia, że mają towarzystwo. Dopiero gdy wróciły do domu, powiedziała:

— Wie pani, panno Stevens, wolę, kiedy jedziemy same. Tak lubię jazdę po lesie!

— Wiem o tym, kochanie — odparła Tilia. — Ale twój ojciec uważa, że ktoś powinien nam towarzyszyć, przynajmniej na razie.

Mary-Lee przyjęła spokojnie to wyjaśnienie. Idąc do szkolnego pokoju ustaliły, co będą robić po południu. Tilia dowiedziała się od Emily, że obiad zjedzą na górze. Sprawa się wyjaśniła, gdy usłyszała, że przyjechał Patrick O'Kelly. Domyśliła się, że przybył wcześniej niż reszta gości, by osobiście dopilnować przygotowań. Roby zapewne zjawi się później. Dobrze, że w obecności Patricka Clint Wickham zrezygnował ze wspólnego obiadu. Tilia bała się, że obojgu trudno by przyszło ukryć uczucia, jakie zaczęli do siebie żywić, a Irlandczyk potrafił być bardzo spostrzegawczy. Starła się przywołać samą siebie do porządku, przekonując się, że nie ma nic do ukrycia, zwłaszcza jeśli chodzi o jej uczucia. Wiedziała jednak, że to nieprawda.

Dzień zapowiadał się nieciekawie. Nie mogły myszkować swobodnie po domu podczas po-

bytu gości, a na dworze zanosilo się na deszcz. Zabrała więc Mary-Lee na dawno zaplanowaną wycieczkę do piwnic. Dziewczynka była niebywale podekscytowana rozległymi podziemiami ciągnącymi się pod domem. Pochodziły jeszcze z czasów elżbietańskich. Tilia znała je doskonale. Teraz zaskoczył ją widok niezliczonych butelek leżących w specjalnych stojakach. Zapewne to Patrick je dostarczył. Oczywiście nieźle na tym zarobił.

Obejrzawszy piwnice wróciły na parter i poszły do biblioteki. Tilia chciała dokładnie spenetrować doskonale sobie znaną szafę pełną książek z bajkami. Zdejmowała kolejne tomy z półek, a Mary-Lee z okrzykami radości studiowała ilustracje. Niektóre z tych bajek czytała Tili matka. Właśnie te dziewczyna postanowiła zabrać do szkolnego pokoju.

— Ale tu są jeszcze książki, których nie oglądałam! — protestowała Mary-Lee.

— Mamy na to mnóstwo czasu, a i tak nie dałabyś rady przejrzeć wszystkich za jednym razem — odparła Tilia.

Mary-Lee przechyliła głowę.

— A jeśli tatuś zechce wrócić do Ameryki? Na ranczu nie mamy takich książek jak tu.

— Jak ładnie poprosimy twego ojca, to na pewno kupi ci wiele pięknych książek. Jeśli bę-

dziesz naprawdę bardzo, bardzo uważać, by ich nie zniszczyć, możesz pożyczyć niektóre z tych.

— To byłoby cudnie. A wtedy pani by mi je czytała.

Słowa Mary-Lee padły jak grom z jasnego nieba. Tili dotąd nie przyszło na myśl, że może będzie musiała pojechać do Ameryki z Clintem Wickhamem. Nie, to niemożliwe! Była niemal całkowicie pewna, że gdyby Amerykanin się nie ożenił, nadal umizgiwałby się do niej. W Ameryce byłaby zdana na jego łaskę i trudniej by jej przyszło zapobiec wytworzeniu się między nimi bliższej zażyłości.

Tak, znacznie ważniejsze niż wyjazd do Ameryki jest pozostanie w Staverly. Wszystko w niej drżało z lęku na samą myśl, że musiałaby opuścić ukochany dom, i to być może na zawsze.

Potem w duchu skarciła samą siebie. Jak może czuć tak wiele do człowieka, którego dopiero poznała i który w dodatku obraził ją? Jego propozycja złożona ubiegłej nocy była obelgą. A jednocześnie, ponieważ nie dotknął jej fizycznie — jeśli nie liczyć pocałunku złożonego na jej dłoni — nie mogła się naprawdę na niego gniewać. To Amerykanin, więc myśli całkiem inaczej — przekonywała siebie.

Nie rozwiało to wcale dręczących ją rozterek.

Tymczasem Emily przebierała Mary-Lee w jedną z pięknych i drogich sukienek. Jednocześnie cały czas trajkotała na temat proszonej kolacji.

— W jadalni nakrywa się na dwadzieścia sześć osób — opowiadała z przejęciem. — Szykujemy najlepsze pokoje.

Tilia z trudem powstrzymała się, by za przykładem Emily nie zerknąć ukradkiem zza balustrady schodów na przybyłych gości.

— A jakie eleganckie panie! — wykrzyknęła Emily. — Strusie pióra, brylanty!

— Słyszałaś może jakieś nazwiska? — spytała Tilia ciekawie.

— Przyjechała prawdziwa księżna — odparła Emily. — Chyba księżna Melchester.

Tilia wstrzymała oddech. Domyślała się, że księżna tu będzie. Usiłowała zapanować nad sobą, ale słowa same cisnęły się na usta.

— Czyjej wysokość przyjechała z córką?

— O tak, panienko! Nazywa się lady Vivien Chester i jest bardzo ładna!

Tilia spodziewała się tej odpowiedzi. Starła się zignorować bolesny skurcz serca. W trakcie rozmowy do szkolnego pokoju wszedł lokaj z paczką zaadresowaną do Mary-Lee.

— Dla mnie? — ucieszyła się dziewczynka. — Co to może być, panno Stevens?

— Nie mam pojęcia — uśmiechnęła się Tilia. — Otwórz i zobacz.

Pomyślała, że to pewnie któryś z gości przywiózł paczkę, gdyż nie przyszła pocztą i była obwiązana szeroką wstążką.

Mary-Lee niecierpliwie otworzyła pakunek. W środku znajdowała się przepiękna pozytywka. Dziewczynka otworzyła wieczko i w pokoju rozległa się przyjemna melodyjka. Mary-Lee była zachwycona.

Tilia zauważyła, że w paczce znajduje się list. Wzięła go do ręki i przekonała się, że adresowany jest do niej. Rozpoznała pismo Patricka i domyśliła się, że to podarunek od Irlandczyka. Mary-Lee bawiła się pozytywką, otwierając i zamykając wieczko. Tilia spokojnie przeczytała list. Był bardzo krótki:

*Droga Otylio,*

*Oto prezent dla Mary-Lee. Ważne jest, by przesyłka, nawet najmniejsza, została szybko doręczona.*

*Twój Patrick.*

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w list. A więc prezent posłużył za pretekst do przypomnienia o jej tajnej misji. Sprytnie pomyślane, gdyż sposób ten nie mógł nasunąć nikomu

żadnych podejrzeń. Pochłonięta wydarzeniami ostatnich dni na śmierć zapomniała o swoich zobowiązaniach. Przecież zgodziła się szpiegować Clinta Wickhama. To było jej zadanie. Nagle poczuła zniechęcenie na myśl o roli szpiega. Miała ogromną ochotę powiedzieć Patrickowi, żeby zostawił ją w spokoju. Potem przypomniała sobie, że niemal groźbą zmusił ją do przyjęcia swoich warunków. Sugerował, że tajemniczy człowiek, który się za tym wszystkim kryje, byłby niebezpiecznym wrogiem.

Muszę się czegoś dowiedzieć! — postanowiła ze smutkiem.

Zastanawiała się, jak to zrobić, kiedy do pokoju wszedł inny lokaj i powiedział:

— Pan Wickham oczekuje panny Mary-Lee w salonie.

— Czy mogę wziąć ze sobą pozytywkę? — spytała dziewczynka.

— Oczywiście — odparła Tilia. — I pamiętaj, żeby podziękować panu O'Kelly'emu. To on ci ją sprezentował.

— Podziękuję mu bardzo grzecznie! — uśmiechnęła się Mary-Lee. Spojrzała na Tilię i dodała: — Czy pani też ze mną zejdzie, aby mu podziękować?

— Myślę, że twój ojciec wolałby, żebyś zeszła sama — odparła Tilia.

— Tam będzie mnóstwo ludzi — skrzywiła się Mary-Lee. — A wszyscy zaczną się mną zachwycać, żeby mu zrobić przyjemność.

Tilia parsknęła śmiechem. Zabawne, to dziecko doskonale zdawało sobie sprawę z tego, iż komplementy, które zbiera, tak naprawdę skierowane są do jego ojca. Głośno powiedziała: — Zejdź na dół i bądź grzeczna dla wszystkich. Jeżeli usłyszysz coś miłego na swój temat, po prostu powiedz uprzejmie: dziękuję!

— Pewnie tatuś to robi — powiedziała Mary-Lee. — On bardzo lubi słuchać, jak mnie chwala.

— Mnie też miło słyszeć pochwały na twój temat — uśmiechnęła się Tilia. — Pamiętaj, opowiesz mi wszystko, kiedy wrócisz.

— Szkoda, wolałabym, żeby pani była ze mną — westchnęła dziewczynka. Pobiegnęła w stronę drzwi. Lokaj ruszył za nią. Tilia zamknęła książki, które razem oglądały, i poszła do swojego pokoju.

Myślała o córce księcia zaproszonej przez Patricka do Staverly. Może milioner poczuje do lady Vivien to samo, co zeszłej nocy czuł do biednej guwernantki? Otrząsnęła się, zakazując sobie surowo myślenia o nim i o jego wyznaniach. Trzeba o wszystkim zapomnieć jak najszybciej. Jedyne usprawiedliwieniem zachowania Clinta



Wickhama było jego amerykańskie pochodzenie. Skąd miał wiedzieć, jak powinien postępować prawdziwy dżentelmen?

Podeszła do okna i spojrzała na fontannę. Słońce wysyłało ostatnie promienie, które odbijały się w strugach wody strzelających w niebo. Widok był nieprawdopodobnie piękny.

Pomyślała, że wszystko to stanowi część jej samej i jej miłości do Staverly.

Cokolwiek się stanie, cokolwiek on powie czy zrobi, dał nam tak wiele, że nigdy tego nie zapomnimy.

Kiedy Mary-Lee zasnęła, Emily z przejęciem zdała relację z tego, jak ubrane były panie.

Po tych rewelacjach Tilia doszła do wniosku, że powinna wcześniej się położyć. Rozebrała się i zamierzała wsunąć się pod kołdrę, kiedy nagle przyszło jej do głowy, że oto nadszedł dobry moment, by zdobyć informacje, o które dopominał się w liście Patrick. Usiadła w łóżku i oparła się o poduszki. Zaczęła intensywnie myśleć. Jak by tu dowiedzieć się czegoś, co usatysfakcjonowałoby Irlandczyka i jego tajemniczego mocodawcę?

Z całą pewnością nic naprawdę ważnego dla interesów Wickhama nie będzie leżało pozostawione bez troski na wierzchu. Wszystkie dokumenty muszą być zamknięte bezpiecznie w sejfie.

W dodatku sama nie wiem, czego mam szukać — pomyślała z rozpaczą. A może coś znalazłoby się w szufladach biurka w gabinecie? Na przykład nagłówek jakiegoś listu? Chyba trzeba będzie tam zajrzeć — westchnęła z niechęcią.

Ten wieczór idealnie nadawał się na takie przedsięwzięcie. Dowiedziała się od Emily, że następnego dnia mają się odbyć tańce, na które specjalnie zamówiono orkiestrę z Londynu. A więc dzisiaj, po męczącej podróży i przed balem, który może przeciągnąć się do późna, goście na pewno zechcą się wyspać. Zaczekam, aż wszyscy znajdą się w swoich pokojach — pomyślała Tilia. — Wtedy przejrzę zawartość biurka, a jeśli nic nie znajdę, to trudno, Patrick będzie musiał się z tym pogodzić.

Sięgnęła po leżącą przy łóżku książkę i zaczęła czytać. Bała się zasnąć, bo mogłaby obudzić się dopiero rano. Zaczekała, aż wskazówki zegara pokazały godzinę pierwszą. Była bardzo senna i wolała nie ryzykować dłuższego czuwania. Wstała z łóżka i sięgnęła po szlafrok, który Emily położyła na fotelu. Należał kiedyś do matki i był bardzo piękny, dużo ładniejszy niż jej własne rzeczy — satynowy, obsyty koronkowymi falbankami. Już miała wyjść, ale po chwili wahania podeszła do szuflady i wyjęła z niej mały rewolwer, który dał jej Clint Wickham. Była

pewna, że nie będzie jej potrzebny, ale wolała zabezpieczyć się na wypadek, gdyby ktoś ją spotkał i zapytał, dlaczego w nocy zeszła na dół. Będzie mogła odpowiedzieć, że usłyszała jakieś podejrzane odgłosy i poszła sprawdzić ich źródło. Gdyby napotkaną osobą był Clint Wickham, co było całkiem prawdopodobne, mógłby się spodziewać, że będzie mieć ze sobą rewolwer. To tak na wszelki wypadek — powtarzała sobie, cały czas modląc się w duchu, by nikt jej nie zauważył.

Bez trudu poruszała się korytarzami, które zwykle nie były używane. Doszła do środkowego skrzydła i do wąskich schodów prowadzących na parter. Całe szczęście, że dobrze orientowała się w rozkładzie pomieszczeń, bowiem w przeciwieństwie do schodów głównych te nie były oświetlone. W przebyciu ich dopomogło padające z okien światło księżyca. Dzięki niemu nie potknęła się ani razu. Bezpiecznie dotarła na parter i wkrótce znalazła się w pobliżu biblioteki. Kilka świateł było zapalonych. Reszta została zgaszona, co oznaczało, że wszyscy poszli spać łącznie z Clintem Wickhamem.

Szybko, bezszelestnie jak duch, podbiegła do drzwi gabinetu. Otworzyła je ostrożnie i przekonała się, że zgodnie z przewidywaniami w pokoju panują ciemności. Tylko dogasający kominek

rzucał słaby, czerwonawy blask. Choć w ciągu dnia słońce przygrzewało dość mocno, kwietniowe wieczory i noce były jeszcze chłodne, więc we wszystkich pokojach rozpalono w kominkach.

Tilia bez trudu znalazła na półeczce nad kominkiem pudełko z fidybusami. Zapaliła potrójny kandelabr, stojący na wielkim biurku w stylu regencji ozdobionym mosiężnymi ornamentami na szufladach i na nóżkach. Wrzuciwszy fidybus do ognia, wróciła do biurka. Przez chwilę miała wrażenie, że siedzi przy nim ojciec, przystojny i elegancki, i przegląda ze smutkiem piętrzące się stosy rachunków, których nie był w stanie zapłacić. Natychmiast powiedziała sobie surowo, że nie czas na rozpamiętywanie przeszłości. Wszystko w życiu zmieniło się, łącznie z pokojem i samym biurkiem.

Może znajdzie coś w szufladach — pomyślała z nadzieją. Już miała wysunąć jedną, kiedy nagle usłyszała jakiś odgłos. W niezwyklej ciszy panującej w uśpionym domu zabrzmiał ostro i wyraźnie. Zastygła bez ruchu, nasłuchując. Znow dobiegły ją jakieś dźwięki. Ktoś zbliżał się do drzwi gabinetu. Rozpaczliwie rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu kryjówki.

W chwili gdy drzwi się uchyliły, dopadła do jednej z zasłon przy oknie. Ukryła się na niskim

parapecie obitym czerwonym aksamitem, z jakiego uszyto portiery. Pod wpływem strachu jej oddech był krótki, przyspieszony. Starła się stać całkiem nieruchomo. Miała wrażenie, że bicie jej serca słychać w całym pokoju i że musi je słyszeć ten ktoś, kto właśnie wszedł. Drzwi się zamknęły i wtedy do jej uszu dobiegi odgłos kroków na dywanie.

— Jeśli będziesz rozsądny, nie zabierzemy ci dużo czasu! — rozległ się twardy nosowy, jakby znajomy głos mówiący z amerykańskim akcentem.

Najciszej jak mogła, rozchyliła zasłonę. Zachowując ostrożność, jednym okiem zerknęła na pokój.

To wystarczyło. Widok, jaki ujrzała, był tak przerażający, że nie tylko ręce poczęły jej drżeć, ale całe ciało przebiegł dreszcz.

Clint Wickham został siłą posadzony na krześle przy biurku. Obok stali dwaj mężczyźni. W jednym z nich rozpoznała człowieka, który zaczepił ją na drodze. Zarówno on, jak i ten drugi uzbrojeni byli w długie noże, których ostrza lśniły złowieszczo w świetle świec.

— Mówiłem już, że tu nic nie ma! — powiedział Clint Wickham. — Wszystko, co mogło by was interesować, złożone zostało w sejfie u moich prawników w Londynie.

— Zaraz się przekonamy, czy to prawda — powiedział jeden z mężczyzn. — Otwórz lewą szufladę biurka kluczem, który znaleźliśmy na górze. Jeżeli jak mówisz, nic tam nie będzie, napiszesz list do swoich prawników, żeby wydali nam to, czego żądamy.

— A potem — dodał drugi — zaczekasz w bezpiecznym miejscu, aż wypełnią twoje polecenie.

On też mówił z akcentem wyraźnie zdradzającym Amerykanina.

— A jeśli odmówię? — spytał Clint Wickham. — Czy mnie zabijecie? Jeśli tak, to zapewniam was, panowie, że zgodnie z brytyjskim prawem nie minie was śmierć przez powieszenie, co nie jest zbyt przyjemnym sposobem opuszczenia tego świata.

Był spokojny i najwyraźniej drwił, co zadziwiło Tilię. W odpowiedzi napastnicy roześmieli się kpiąco.

— Nie, my nie zabijamy! Nie jesteśmy tacy głupi! Ale za każdym razem, gdy będzie coś nie tak, poczujesz ostrze tego noża, a to może okazać się mało przyjemne. Zapewniam cię! Jeden z rzezimieszków zaśmiał się złowrogo, najwyraźniej zachwycony tym, że trzyma w garści samego Clinta Wickhama. Miał wielką ochotę zademonstrować swoją siłę.

Clint był w białej wieczorowej koszuli i czarnych spodniach. Musiał zdjąć krawat, zanim ci dwaj zjawili się w jego pokoju.

Przyzwyczajony do tego, że sam się obsługuje, nie zadzwonił na kamerdynera, jak zrobiłby jej ojciec. A dwaj Amerykanie musieli wcześniej dostać się do domu. Ukryli się w sypialni Wickhama lub w nie używanym pokoju. Było przecież mało prawdopodobne, by Clint Wickham zamykał na klucz drzwi sypialni we własnym domu, więc zaskoczyli go bez trudu. Znalazł się w opałach. Musi go ratować!

Poruszając się z największą ostrożnością zasunęła zasłonę i wyjęła rewolwer z kieszeni szlafroka.

— No dobrze, nie będziemy się bawić przez całą noc — stwierdził niecierpliwie jeden z mężczyzn. — Otwieraj szufladę, bo jak zrobię to sam, szturchniemy cię nożem za to, że mam dodatkową pracę!

— Tam nie ma nic ciekawego — upierał się Clint Wickham.

Podniósł pęk kluczy, który Amerykanin rzucił na biurko.

Tilia zrozumiała, dlaczego napastnicy sami nie kwapili się do tej roboty. Na złotym kółku wisiało wiele kluczy. Za dużo czasu zabrałoby im dopasowanie właściwego.

Żeby włożyć klucz do zamka, Clint Wickham musiał się pochylić. Kiedy to uczynił, odsłonił mężczyznę, który do tej pory stał za nim w cieniu. To on bez wątpienia był szefem. Teraz podniósł groźnie nóż. Twarz rzezimieszka wyrażała namysł, czy nie zatopić ostrza w plecach milionera.

Niemal fizycznie czując złe vibracje płynące od bandyty, Tilia podniosła rewolwer. Ojciec nauczył ją strzelać bardzo celnie. Byłoby to straszne i niewątpliwie wywołałoby wielki skandal, gdyby zabiła człowieka. Starła się więc celować tuż poniżej nadgarstka ręki trzymającej nóż.

Clint Wickham wsunął klucz w zamek. W tym momencie Tilia nacisnęła spust. Wybuch był ogłuszający. Amerykanin wydał okrzyk bólu i upadł do tyłu. Jego wspólnik patrzył w osłupieniu. Milioner natychmiast włączył się do akcji. Zerwał się z krzesła i jednym ciosem powalił drugiego mężczyznę na ziemię. Bandyta upadł z łoskotem, nóż wysunął mu się z ręki. Wickham podniósł nóż i przestąpiwszy leżące ciało podszedł do okna.

— Daj mi rewolwer! — polecił cicho, — I nie ruszaj się stąd!

Tilia podała mu broń. W tym momencie drzwi do gabinetu otworzyły się z trzaskiem. Do poko-



ju wpadł lokaj i nocny stróż. Ranny Amerykanin jęczał, trzymając się za strzaskany nadgarstek. Nóż, którym groził Clintowi Wickhamowi, leżał w sporej od niego odległości.

— Co się stało, sir? — spytał zdyszany stróż.

— Usłyszeliśmy wystrzał!

— Ci ludzie grozili mi — powiedział Clint Wickham, wskazując krwawiącego Amerykanina.

— Jak to się stało, sir? — wykrzyknął stróż.

— Jak oni dostali się do domu?

Clint Wickham nie słuchał go. Zwrócił się do lokaja:

— Zawołajcie Burtona i kilku ludzi. Niech przyjdą jak najprędzej i przyniosą Sznury.

— Tak jest, sir! — rzucił lokaj już z korytarza.

— Pomocy! Wezwijcie lekarza! — jęczał ranny Amerykanin. — Boli! Pomocy!

Clint Wickham nie odpowiedział. Podszedł do kominka i stanął plecami do niego.

— Złodziejom należy się nauczka! — mówił stróż. — Ale jak oni dostali się do domu, sir? To więcej się nie zdarzy!

— Już ja dopilnuję, żeby się nie zdarzyło!

— odparł gniewnie Clint Wickham. Upłynęło parę minut, nim wyrwani ze snu lokaje wpadli spieszenie do gabinetu. Za nimi

wszedł Burton odziany w wełniany szlafrok. W nocnym stroju był pozbawiony swego zwykłego dostojęstwa. Na polecenie Wickhama lokaje związali mężczyznę, który zaczynał odzyskiwać przytomność. Amerykanin z coraz silniej krwawiącym nadgarstkiem został wyniesiony przez służących. Nie przestawał krzyczeć, by wezwano lekarza, i narzekał na straszny ból.

— Zamknijcie ich dobrze — rozkazał Wickham. — Rano pošemy po policję i oskarżymy ich o włamanie.

— Tak jest, proszę pana. Co za szczęście, że odkrył pan ich, nim narobili szkody — powiedział Burton.

— O tak, mieliśmy szczęście — zgodził się Wickham.

Spojrzał na leżący na podłodze długi nóż.

— Noże przydadzą się jako dowód — powiedział do Burtona. — Niech pan Trent z rana dopilnuje wszystkiego. Moi goście nie mogą dowiedzieć się, że tu grasują bandyci.

Przestraszyliby się. Zwłaszcza panie.

— Tak, oczywiście, sir. Powiem lokajom, że mają nic nie mówić. Pan Trent załatwi, by tych zbirów jak najszybciej zabrała policja.

— Dziękuję, Burton — powiedział Clint Wickham. — Wiem, że mogę na was w pełni polegać.

— Do usług, sir — odparł Burton. Podeszedł do drzwi i zatrzymał się na moment. — Czy mogę coś panu podać, sir? Kieliszek szampana...?

— Nie, dziękuję — odparł Clint Wickham. — Mam zamiar natychmiast położyć się do łóżka.

Kamerdyner skłonił się, a Clint Wickham dodał:

— Skoro ci kryminaliści są pod kluczem, chyba wszyscy możemy spać spokojnie.

— Tak, oczywiście, sir.

Burton wyszedł z gabinetu zamykając za sobą cichutko drzwi. Clint Wickham odczekał chwilę i gdy upewnił się, że kamerdyner oddalił się do skrzydła dla służby, z uśmiechem podeszedł do okna. Rozsunął zasłony — Tilia stała nieruchomo na parapecie. Spojrzał na nią, na jej jasne włosy rozsypane na ramionach. Była bardzo blada, a w jej oczach wciąż widniał strach wywołany niedawnymi wydarzeniami. Mimo to uśmiechnęła się do niego. Clint Wickham uniósł ją i ostrożnie postawił na ziemi. Nie puścił jej, lecz przytrzymał mocno w ramionach. Spojrzała na niego, chciała powiedzieć, jak bardzo się cieszy, że jest bezpieczny. Słowa okazały się niepotrzebne. Ocaliła go i tylko to się liczyło. Przez dłuższą chwilę patrzył na nią. Potem jego ramiona zacisnęły się mocniej.

Nim zdążyła się poruszyć czy odepchnąć go, zaczął ją całować. Dziko, namiętnie, zachłannie. Nigdy nie przypuszczała, iż coś takiego może się zdarzyć. Całował, a pokój zaczął wirować dookoła. Nie była w stanie myśleć, czuła jedynie słodycz pocałunków. W nagłym upojeniu nie zdała sobie sprawy, że odpowiada na nie.

Gdzieś z głębin świadomości docierało mgliste wrażenie, że jest zdobywana pocałunkami, że za ich sprawą oboje jednoczą się nierozdzielnie. Wreszcie zabrakło im tchu. Wickham podniósł głowę. Tilia nie była w stanie ani się poruszyć, ani wypowiedzieć słowa.

Spojrzał na nią. W jego oczach płonął ogień. Znów zaczął całować jej wargi, ale tym razem dużo delikatniej. Czuła, że on zabiera jej serce i duszę w wieczyste posiadanie. Pozbawiał ją woli, przez niego świat zewnętrzny przestał istnieć.

Pocałunki dawały równie upojne szczęście i radość, jak widok rozświetlonej słońcem fontanny. Oczyma duszy Tilia widziała gwiazdy i księżyc, a ich piękno wypełniało ją całą. Płoneły jasnym blaskiem i nieciły iskry. A on całował i całował. Mogłaby już umrzeć, bo poznała uczucie nie ludzkie, lecz boskie w swej naturze.

To była miłość. Wszechogarniająca, jakiej nie można się oprzeć. Sprawiała, że Tilia kochała Clinta i należała do niego. Miłość okazała się różna od tej, którą sobie wyobrażała, różna od tego, co o niej czytała i jaka jawiła się w snach. Jedyne, czego Tilia była pewna, to że nie należała już do siebie. Była całkowicie i nieodwracalnie jego.

7

Dużo później Clint szepnął:

— Chyba powinnaś już iść spać, kochanie.

To były pierwsze słowa, jakie padły od dłuższego czasu, lecz Tilia czuła się tak, jakby powiedzieli sobie milion rzeczy. Słowa były niepotrzebne.

Przytuliła się do jego ramienia, a on całował jej czoło, oczy i gładką, jedwabistą szyję. Ustami wyczuł dreszcz, jaki pocałunki wzbudziły w ciele dziewczyny. Więc znów pocałował ją namiętnie.

— Kocham cię! — szepnął. — Och, kocham cię! Idź spać, najdroższa, i śnij o mnie.

Znieruchomiła patrzyła na niego, nie rozumiejąc, co mówił, nie mogąc wrócić do rzeczywistości z raju, do którego ją zabrał. Jakby wyczuwając to wszystko, objął ją i poprowadził w stronę drzwi.

— Mam dziwne przeczucie — powiedział — że potrafisz wrócić do siebie tak, by nikt cię nie zauważył. Czy dasz sobie radę?

Skinęła głową. Jeszcze raz ucałował jej czoło. Potem zmusił się do puszczenia jej ręki i długą chwilę stał, patrząc, jak Tilia znika w korytarzu. Jej sylwetka stawała się coraz słabiej widoczna, aż w końcu rozplynęła się całkiem w mroku.

Bez tchu, jak nieprzytomna, dziewczyna wbiegła na górę wąskimi schodami.

Błyskawicznie pokonała odległość dzielącą ją od szkolnego pokoju. Dopiero gdy znalazła się u siebie, poczuła, że wraca do rzeczywistości. Zasłony były zaciągnięte, tak jak je zostawiła.

Podeszła do okna i spojrzała na fontannę. Gwiazdy na niebie zaczęły już blednąć. Wkrótce ukażą się pierwsze nieśmiałe blaski świtu. Widok, jaki miała w tej chwili przed oczami, stanowił niedłłączną część miłości pulsującej w całym ciele. I wtedy nagle z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie może dłużej pozostać w Staverly.

Jeśli znów zobaczy Clinta, nie potrafi mu się oprzeć. Będzie bezbronna i zrobi wszystko, o co on ją poprosi. Nie raz, lecz setki razy mówił jej tej nocy, że ją kocha. Pocałunki wymownie świadczyły, jak silna i nie znosząca sprzeciwu jest jego miłość. Ale jej nie wolno zapomnieć, że w jednym z reprezentacyjnych pokoi śpi córka

księżnej, która da mu w przyszłości upragnioną dynastię.

Odejść stąd! — To nie Tilia wykrzyczała w myśli te słowa. To matka nakazywała natychmiastową ucieczkę. Tilia kocha Clinta, ale nie wolno jej zrobić nic, co zasmuciłoby najdroższych rodziców i przyniosłoby im wstyd. Odwróciła się od okna, czując, że piękno tego, co widzi, zaczyna oddziaływać na nią niemal hipnotycznie.

Szybko ubrała się w wybraną na chybił trafił suknię. Upięła włosy i przeszła na palcach do pokoju szkolnego. Usiadła przy stole. Leżały na nim książki przyniesione z biblioteki, a obok nich notatnik, w którym wypisała tytuły bajek.

Sięgnęła po kartkę i szybko, lecz wyraźnie napisała swoim zamaszystym pismem:

*Droga Emily,*

*Z powodu pilnych spraw rodzinnych muszę natychmiast jechać do domu. Opiekuj się, proszę, panienką Mary-Lee. Po bagaż przyślę później. Dziękuję Ci za pomoc*

*Tilia Stevens.*

Złożyła kartkę, napisała na niej dużymi drukowanymi literami: **EMILY** i położyła w widocznym miejscu na stole. Potem wróciła do swego



pokoju. Wzięła torebkę, w której trzymała pieniądze, jakie zabrała ze sobą do Staverly. Reszta leżała ukryta bezpiecznie w sejfie w dworku. Zeszła na parter, a potem jeszcze w dół schodami prowadzącymi do drzwi ogrodowych. Wiedziała, że tam nikt jej nie zobaczy. Krętą ścieżką między krzakami rododendronów starała się iść tak, by nie widać jej było z okien. Przemykając w cieniu dębów dotarła do parku. Otoczony sporym ogrodem dworek stał na jego skraju, niedaleko wioski. Coblinowie spali o tej porze. Nie chciała ich budzić. Na szczęście wiedziała, że jedno okno ma obłuzowaną framugę, gdyż na reperację zabrakło pieniędzy. Weszła więc przez nie do środka. Ciągle zadawała sobie pytanie, czy postępuje słusznie. Przecież całą sobą wyrywała się do Clinta. Kocham cię... kocham... kocham! — krzyczało jej serce. — Ale nie mogę zniszczyć miłości przez niewłaściwie postępowanie. Dotarła do schodów i ruszyła na piętro. Pokój zastała w takim stanie, w jakim go zostawiła. Tylko łóżko ktoś posłał, reszta była nietknięta. Kiedy odciągnęła zasłony, by wpuścić nieco światła, dostrzegła rzucone na krzesło swoje dawne ubrania. Stare buty, które wkładała idąc do ogrodu, leżały na podłodze. Powiedziała sobie, że to wszystko nieważne... nic nie jest ważne.

Machinalnie rozebrała się, włożyła nocną koszulę i wsunęła się do łóżka. Dopiero wtedy do oczu napłynęły łzy. Szlochała w poduszkę, dopóki nie opadła z sił.

Kocham go... kocham... kocham! Wciąż powtarzała te same słowa, aż wreszcie usnęła.

Gdy się obudziła, wydawało się jej, że słyszy dobiegający z drugiego pokoju głos Mary-Lee. Potem przypomniała sobie, gdzie jest i że w nocy uciekła ze Staverly. Długo leżała bez ruchu. Był już późny ranek i słońce wkładało się do pokoju przez szpary w zasłonach. Nie musiała nigdzie się śpieszyć. Nikt nie wiedział, że tu jest, i nikt jej tu nie znajdzie.

Dochodziła dwunasta, kiedy wreszcie Tilia zeszła na dół ku wielkiemu zdumieniu Cobli-nów.

— Wielkie nieba! Panienska Otylia! — wykrzyknęła pani Coblin. — Skąd panienska się tu wzięła?

— Przyszłam w nocy — wyjaśniła Tilia. — Ja... ukrywam się.

— Ukrywa się panienska? — powtórzyła pani Coblin w zdumieniu. — A przed kim to?

— Przed wszystkimi! — odpowiedziała nieszczęśliwa Tilia. — Proszę, obiecacie mi, że nie

powiecie o mnie nikomu. Jeżeli ktoś będzie się pytał, mówcie, że nie macie pojęcia, gdzie jestem.

— Chyba nie jest panienka w kłopotach, panno Otylio? — spytał wolno Coblin.

— Sama nie wiem — wyznała Tilia. — Chcę tylko ukryć się... I chyba jestem głodna!

To skutecznie odwróciło uwagę żony Coblina.

— Zaraz panience coś przyniosę — powiedziała. — Jak tak się lepiej przyjrzeć, strasznie panienka zmarniała. To zjawienie się panienki to prawdziwy szok.

Tilia zostawiła panią Coblin przy kuchni, a sama poszła do salonu. Wyglądał smutno bez kwiatów. Zastanawiała się, czy to będzie rozsądne, jeśli wyjdzie do ogrodu i nazbiera ich trochę. Właściwie, czemuż by nie?

Roby domyśli się, gdzie ona jest, kiedy się dowie o jej zniknięciu, Patrick będzie wściekły, ale obaj nie zdradzą jej. Odruchowo, ponieważ zawsze należało to do jej obowiązków, zaczęła ścierać kurze w salonie. Czekwała na Coblina, który miał ją zawiadomić, kiedy posiłek będzie gotowy.

Nie czekała długo. Pani Coblin przyrządziła omlet, ponieważ to mogła zrobić najszybciej. Do omletu podała sałatę pochodzącą z własne-

go warzywnika. Tilia domyśliła się, że to Coblin posadził warzywa. Teraz kiedy lepiej się odżywał, wyglądał młodziej i był w znacznie lepszej formie.

Tilia zjadła omlet, a także chlebowy pudding. Uśmiechnęła się przypominawszy sobie, jak bardzo nie znosiła puddingu chlebowego, kiedy była dzieckiem. Teraz, ponieważ pani Coblin była doskonałą kucharką, rozkoszowała się każdym kęsem.

— Dziękuję — powiedziała zwracając się do Coblina, kiedy skończyła posiłek.

— Cieszę się, że panienka jest znów z nami, panno Otylio — powiedział. — Smutno było bez panienki.

Tilia uśmiechnęła się i wyszła tylnymi drzwiami do ogrodu. Zebrała całe naręcze białego bzu i lilii, które właśnie zaczynały rozwijać się z pączków. Znalazła też kilka tulipanów, które kwitły uparcie co roku mimo porastających grządkę chwastów. Ruszyła w stronę domu. Ku swemu zdumieniu zobaczyła, że drzwi frontowe są otwarte, a przed nimi uwiązany do palika stoi koń. Zatrzymała się na moment. Pomyślała, że to pewnie Roby. Przynajmniej dowie się od niego, jak zareagował Clint Wickham na jej zniknięcie. Z kwiatami w rękach wpadła do salonu.

— Roby! — wykrzyknęła. — Czy byłeś...? Urwała nagle. To nie Roby stał na drugim końcu pokoju, ale Clint Wickham. Na moment jej serce przestało bić. Potem poczuła ogarniającą ją radość. Clint nie odezwał się ani nie poruszył. Stał tylko i patrzył na nią. Poczowała ogromny wstyd. Położyła kwiaty na krześle, poświęcając tej czynności znacznie więcej czasu, niż było konieczne. Jakby przeczuwając, że czekają ciężka walka, wzięła głęboki oddech i wyprostowała się. Potem podniosła głowę wyzywająco.

— Jak... mnie pan tu znalazł? — spytała spokojnie.

— Nie mogłem uwierzyć, kiedy powiedziano mi, że odeszłaś!

Zbliżyła się do Wickhama i stanęła przed nim.

— Musiałam odejść...

— Czy ostatniej nocy nie zrozumiałaś, że nie mogę bez ciebie żyć?

Zapadło milczenie. Przerwała je Tilia mówiąc tak cicho, że ledwo słyszał jej głos:

— Ostatnia noc była cudowna... Najpiękniejsza noc w moim życiu... Nigdy jej nie zapomnę... Ale właśnie dlatego musiałam odejść.

— Dlaczego?

To słowo często padało z jego ust.

— Ponieważ — Tilia starała się jak najstaranniej dobierać słowa — gdybym została, nie mogłabym... odmówić panu...

— Wydawało mi się, że moja prośba, jak to nazywasz, jest zupełnie jasna — odpowiedział głosem delikatnym jak aksamit. — Chcę ciebie!

Bała się jego dotknięcia, tego, że znów straci głowę, więc odsunęła się od niego. Podeszła do okna i niewidzącym wzrokiem wpatrzyła się w ogród. W promieniach słońca jej włosy lśniły żywym złotem.

Clintowi, gdy na nią patrzył, wydawało się, że główkę dziewczyny otacza złota aureola.

Zapadła dłuższa cisza, którą wreszcie przerwała Tilia:

— Ponieważ cię kocham... i ponieważ sprawiasz, że przy tobie zapominam o całym świecie, o wszystkim w co wierzę... muszę odejść. Proszę cię, idź już! Nie możemy ciągle spierać się... i walczyć ze sobą.

— Nie miałem najmniejszego zamiaru walczyć z tobą — odparł Clint. — Chcę tylko wypowiedzieć na głos to, o czym myślałem zeszłej nocy trzymając cię w ramionach.

Tilia wstrzymała oddech.

— To całkiem proste — rzekł cicho. — Jak szybko, ukochana, będziesz gotowa wyjść za mnie?

Czy się nie przesłyszała? Czy to możliwe, że Clint Wickham — po tym co opowiadał o dynastii, którą miał założyć przy współudziale córki księcia, czekającej tylko na jego oświadczenia — prosi ją, Tilię, o rękę?

Przeniknęła ją rozkoszna myśl, że to najbardziej cudowna rzecz, jaka mogła się wydarzyć. Oto sam Clint Wickham gotów jest ożenić się nie z Otylią Staverly — która w końcu miała pewną pozycję w świecie — ale z panną Stevens, skromną guwernantką nie mającą wiele do zaoferowania poza wyobraźnią. Serce Tili i aż skoczyło z wielkiej radości, że on tak bardzo ją kocha, a jednocześnie nie mogła w to uwierzyć. To musi być jakaś pomyłka. Później będzie tego żałował.

— A co z twoją... dynastią? — spytała drżącym głosem.

Nie odwróciła się od okna, więc nie widziała uśmiechu, jaki w tym momencie zagościł na jego twarzy.

— Owszem, przemyślałem to — odparł. — Nadal mam zamiar założyć dynastię!

Tilia poczuła, że wszystko w niej lodowacieje. A więc jednak źle zrozumiała jego słowa.

Dopiero teraz wszystko jest jasne. On tymczasem przeszedł przez pokój i stanął obok niej.

— Będę miał swoją dynastię — potwierdził stanowczo. — Tylko że nieco inną, niż sobie

pierwotnie zaplanowałem. Ale jestem przekonany, że tobie się również spodoba.

Tilia nie była w stanie ani ruszyć się, ani wykrztusić słowa. Clint wyciągnął obie ręce, oparł na jej ramionach i delikatnie odwrócił ją w swoją stronę. Kiedy spojrzała na niego, zauważyła, że w jego twarzy zaszła ogromna zmiana. I wtedy dopiero zrozumiała, że nigdy jeszcze nie widziała go tak szczęśliwego.

— Założymy razem dynastię, moja ukochana — powiedział. — Będzie to dynastia miłości.

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, przyciągnął ją do siebie, a jego wargi odnalazły stęsknione za nim usta. Całował ją tak długo, aż znów znalazła się w niebie, unosząc się wśród chmur. Tym razem było to uczucie pełniejsze, wznioślejsze i bardziej doskonałe.

Kiedy podniósł głowę, zapytała niepewnie:

— Czy naprawdę tego chcesz?

— Tak! — zawołał z mocą. — Nasza dynastia, mój skarbie, połączy oba brzegi Atlantyku.

Nie tylko my zjednoczymy się w miłości, ale i złączymy nasze kraje!

Znów chciał ją pocałować, ale oparła dłonie na jego piersi, powstrzymując go.

— Czy jesteś pewien... czy jesteś naprawdę pewien — pytała wciąż na nowo — że nie bę-



dziesz żałować, kiedy już będzie za późno, że nie jestem... księżniczką?

— Niczego nie będę żałować! — oznajmił Glint. — A jeśli jeszcze kiedykolwiek uciekniesz ode mnie, oszaleję!

— Jak mnie tu znalazłeś? — Tilia wróciła do swego pierwszego pytania. — Czy to... Roby powiedział ci, gdzie jestem?

— Staverly? A więc je mu powiedziałaś, że tu będziesz?

W jego głosie zabrzmiała nuta podejrzliwości. Tilia nagle uprzytomniła sobie, że przecież Clint nie ma pojęcia, iż Roby jest jej bratem. Już miała odpowiedzieć, kiedy Clint zaczął wyjaśniać:

— Dowiedziałem się od Mary-Lee, że zniknęłaś. Przybiegła do mnie, tonąc we łzach, i wyszłochała, że odeszłaś. Na szczęście byliśmy sami w gabinecie.

— Nie miałam zamiaru sprawić jej przykrości — szepnęła Tilia z żalem.

— Była szczerze zasmucona. „Kocham pannę Stevens, tatusiu. Musisz ją sprowadzić. Nie chcę żadnej innej guwernantki”. To są jej słowa.

— A więc tak się dowiedziałeś — westchnęła Tilia. — I co zrobiłeś potem?

Clint uśmiechnął się.

— Skorzystałem z wyobraźni.

— Jak to?

— Nie było to zbyt trudne. Ponieważ opuściłaś dom po naszym spotkaniu, wiedziałem, że nie zamówiłaś powozu ani nie wzięłaś konia. Doszedłem więc do wniosku, że musiałaś pójść na piechotę, a to oznaczało, że jesteś albo na terenie posiadłości, albo gdzieś w wiosce.

— W swojej naiwności nie pomyślałam o tym wszystkim!

— Miałem też głębokie wewnętrzne przekonanie, że myślisz o mnie. Ponieważ tak rozpaczliwie pragnąłem cię, przyciągnęłaś mnie do swojej kryjówki czymś, co Indianie nazywają „moc myśli”.

— To cudowne! A więc tak mnie tu odnalazłeś!

— Nikomu nie powiedziałem, dokąd jadę. Po prostu poszedłem do stajni i przygalopowałem prosto tutaj.

— Więc nie jadłeś jeszcze obiadu! — wykrzyknęła Tilia. — A co pomyślą sobie twoi goście?

— Szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi — odparł Clint. — Odnalazłem cię, a gdyby cię tu nie było, pojechałbym szukać dalej, nie zważając na gości!

Tilia roześmiała się.

— Biedny Patrick! Zadał sobie tyle trudu, by ściągnąć do Staverly najlepsze towarzystwo!

— Nie musisz go żałować. Nieźle się przy tym obłowił — odparł Clint. — A kiedy przestaną mi być potrzebne jego usługi, bez trudu znajdzie kogoś innego.

Spojrzała na niego pytająco, a on dodał:

— Tak, doskonale wiem, że zarobił nieźle, protegując mnie, jeśli jest to odpowiednie słowo.

Tilia przypomniała sobie o własnej roli w całym układzie. Jak przerażone dziecko ukryła twarz na ramieniu Clinta.

— Muszę ci coś wyznać — szepnęła zawstydzona.

Jego ramiona zacisnęły się mocno.

— Czy chodzi ci o powód twojej nocnej wizyty na dole? — spytał. — Bo jeśli tak, to wiem wszystko.

— Jak... się domyśliłeś?

— Kiedy dowiedziałem się, że Patrick działa w porozumieniu z moim najgorszym wrogiem, od razu nasunęło mi się podejrzenie, iż umieścił gdzieś w pobliżu swojego szpiega.

Pocałował Tilię w czubek głowy.

— Ale nie miałem najmniejszego pojęcia, że szpieg ów będzie taki śliczny, moja najdroższa!

— Nie zniechęciło cię to do mnie i nie przestałeś... mnie kochać? — spytała Tilia.

— Też mi pytanie! — odpowiedział Clint. — Wiesz równie dobrze jak ja, że nie możemy przestać się kochać.

Podniósł palcem jej brodę i odwrócił twarz dziewczyny w swoją stronę.

— Przecież kochałaś mnie, nawet odchodząc ode mnie i chroniąc się tutaj!

— Uciekłam, bo... cię Kocham! — wyszeptała Tilia. — Bałam się, by nie zniszczyć czegoś tak pięknego, jak nasza miłość, która jest darem Boga...

— Czuję, że tak właśnie myślisz — powiedział Clint. — I może trudno w to uwierzyć, ale ja myślę tak samo!

— Och, Clint! Czy to... prawda?

— Nie okłamywałbym cię — odpowiedział stanowczo. — Jest to coś, czego nigdy nie wolno nam robić. I odtąd żadnych sekretów między nami!

— Od początku ten pomysł wydał mi się wstrętny — powiedziała Tilia, mając na myśli swoją nieszczęsną misję.

— Ale gdybyś nie zeszła do gabinetu zeszłej nocy — przypomniał jej Clint — nie uratowałabyś mnie. Jestem ci za to naprawdę wdzięczny, moja najmilsza. Tych dwóch gagatków, jak się okazało, jest odpowiedzialnych za wiele zbrodni w Ameryce. Już nigdy nie staną nam na drodze.

— A co z człowiekiem, który ich wysłał? — spytała Tilia przerażonym głosem.

— Jeżeli w przyszłości znajdę się w niebezpieczeństwie, jestem pewien, że mnie obronisz! Jednocześnie obiecuję zachować wszelkie środki ostrożności.

Zanim odpowiedziała, przyciągnął ją do siebie bliżej i rzekł:

— Wiem, że chcesz odkrywać świat. Będziemy to robić razem. Czeka nas wiele wspaniałych przeżyć.

Tilia krzyknęła ze szczęścia, a on mówił dalej:

— Im szybciej się pobierzemy, tym lepiej. Właśnie, dziwne, że nigdy nie pytałem cię, czy masz jakąś rodzinę.

— Zaraz się przekonasz, że moja odpowiedź będzie jeszcze bardziej dziwna — odpowiedziała Tilia. — Widzisz, Roby to mój brat!

Przez chwilę Clint wpatrywał się w nią bez słowa.

— Czy to znaczy, że pochodzisz z rodu Sta-verlych?

Tilia uśmiechnęła się słodko.

— Jestem Otylia Staverly — przedstawiła się.

— Właściwie powinienem był się tego domyślić! — wykrzyknął Clint. — Guwernantka

o nazwisku Stevens nie mogła wyglądać jak ty i odznaczać się tak niepospolitym umysłem! Przecież nie spałem po nocach, żeby obmyślić odpowiedzi na niektóre kwestie!

— Nie wierzę w to ani trochę. Ale najdroższy mój, gdybym musiała zmierzyć się z księżniczką, która cię już nie interesuje, miałabym przynajmniej nad nią drobną przewagę.

— Otylia Staverly! — powtórzył Clint. — To mi się podoba! I to nawet bardzo!

— Ciągłe myślisz o swojej dynastii — droczyła się z nim Tilia.

— Myślę o niej, kiedy cię całuję, a kiedy weźmiemy ślub, przekonasz się, jak bardzo jest to ważne w życiu.

W jego oczach zapłonął ogień. Zawstydzona, zaczerwieniła się i ukryła twarz na jego ramieniu.

— Czekam ciągle na odpowiedź na moje pytanie — powiedział.

— Musimy zwrócić się do Roby'ego. Rodzice nie żyją, więc on jest moim opiekunem. Nie uwierzy, że wszechmocny Wickham, który zrobił tak wiele dla Staverly, ma zamiar na stałe wejść do rodziny!

— I to całkiem na stałe — zaręczył Clint. — Nie mogę się tego doczekać. Zobaczysz, wszystko dobrze się ułoży!

Tilia spojrzała na niego z zaciekawieniem, więc wyjaśnił:

— Roby będzie w moim imieniu doglądał posiadłości i zamieszka w tym miłym małym domku. Może się przenieść do Staverly, kiedy wyjedziemy, co będzie się zdarzać dość często. A ponieważ wiem doskonale, że on aż się pali do moich koni, wszystko pasuje jak ulał.

— Och tak! — wykrzyknęła Tilia. — To cudowne, że myślisz o wszystkim i uszczęśliwisz nie tylko mnie, ale i Roby'ego.

— Znam jeszcze kogoś, kto będzie bardzo szczęśliwy — uśmiechnął się Clint. — Mała Mary-Lee!

W oczach Tili odmalował się niepokój.

— Czy jesteś pewien, że nie będzie miała nic przeciwko temu, bym zajęła w twoim życiu miejsce jej matki?

— Była bardzo nieszczęśliwa, kiedy zniknęłaś. Ona naprawdę cię pokochała — stwierdził z głębokim przekonaniem Clint. — Zapewniam cię, że dawno nie widziałem jej tak szczęśliwej, jak kiedy przebywała w twoim towarzystwie.

Przyciągnął Tilię bliżej i powiedział:

— Myślę, że Mary-Lee powinna mieć siostry i braci, z którymi mogłaby się bawić. A miejsca jest pod dostatkiem zarówno w Staverly, jak i w Ameryce.

Tilia zaczerwieniła się, wyraźnie zawstydzona, a on pomyślał, że oto stoi przed nim najpiękniejsza kobieta na świecie.

— Mój skarbie, moja najdroższa — powiedział miękko. — Byłem głupcem, myśląc, że mógłbym być szczęśliwy z kimś innym!

Tilia wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego policzka.

— Nie miałem czasu, żeby ci o tym powiedzieć, ale zrobiłem wielki błąd przy moim pierwszym małżeństwie. Gdyby nie to, że moja żona umarła, na pewno byśmy się rozwiedli.

Ujął dłoń Tili i ucałował jej palce.

— Postanowiłem wtedy, że jeżeli znów się ożenię, będzie to małżeństwo z rozsądku, jak w przypadku Francuzów i wielu angielskich arystokratów.

— Roby powiedział mi — wtrąciła Tilia — że wielu z nich jedzie do Ameryki w poszukiwaniu bogatych amerykańskich panien.

— To natchnęło mnie pomysłem, że można zrobić coś odwrotnego — podjął Clint — czyli jechać do Anglii po arystokratyczną narzeczoną.

— A Patrick uznał to za doskonały pomysł — uśmiechnęła się Tilia.

— Wszystko świetnie obmyślił — powiedział Clint. — Ale oczywiście podobnie jak ja nie przewidział, że mogę niespodziewanie zako-



chać się bez pamięci w najpiękniejszej pannie, jaką w życiu widziałem!

— Och... Clint! Czy pewien jesteś, że naprawdę aż tak mnie kochasz?

— Aż tak? — wykrzyknął Clint. — Pytasz, czy jestem pewien, że będę szczęśliwy do końca życia? Nic nie jest ważniejsze od twojej miłości do mnie.

— Tak bardzo pragnę... by tak było — szepnęła cichutko Tilia.

— Więc na co czekamy?

Wziął Tilię za rękę i ruszył w stronę drzwi.

— Dokąd mnie prowadzisz? Co chcesz zrobić? — pytała.

— Znajdziemy twego brata i powiemy mu, że mamy zamiar pobrać się natychmiast, to znaczy, jak tylko pan Trent, który zaraz wyruszy w drogę, wróci ze specjalnym pozwoleniem!

— Czy mówisz serio?

— Jak najbardziej serio! — oznajmił z tak dobrze jej znaną determinacją.

Spojrzała na Clinta. Oczy jej promieniały słonecznym blaskiem.

— Pewnie wiesz — powiedziała — że nie mam wyprawy ślubnej ani czasu na to, żeby sprawić sobie cokolwiek?

Clint roześmiał się.

— Kupimy wszystko w Paryżu. Z radością uczynię cię jeszcze piękniejszą.  
Nie mógł się powstrzymać, żeby nie wziąć jej w ramiona. Całował ją z tą samą dziką  
namiętną pasją jak pamiętnej dla nich nocy, a ona jak wtedy poczuła, że stapia się z nim w  
jedno.

— Kocham cię... kocham cię... kocham! Słowa te odbijały się echem w jej sercu, a jego  
serce powtarzało to samo. Unosili się w przestworzach oślepieni słonecznym blaskiem,  
zdążając do wrót raju.

Wiedziała, że kiedy się pobiorą, przekroczy owe wrota. I wtedy nic nie będzie ważne, poza  
tym, że staną się jednością.